POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 30-go sierpnia 1941r.* **Rok III. Nr. 35**

Druga rocznica Kampanii Wrześniowej

Upływają dwa lata od tragicznej Kampanii Wrześniowej, od walki na śmierć i na życie, którą stoczyła Polska z niemiecką nawałą. Piołunowy był smak klęski, z jakim opuszczaliśmy podbity kraj, Ojczyznę kochaną, idąc na kraj świata, aby służyć jej dalej.

Czas zrobił swoje. Zrobiły swoje późniejsze wydarzenia. Możemy dziś naszą ówczesną przegraną porównywać z pogromem Francji, naszą obronę z obroną Jugosławii czy Grecji, możemy dziś porównywać naszą obronę z obroną olbrzymiego i potężnie uzbrojonego Związku Sowieckiego. Możemy, jak to świeżo zrobiono w "Bellonie" zestawić siły obustronne nie tylko liczbami wielkich jednostek, ludzi, dział, czołgów, samolotów, lecz także odważyć stosunkową siłę potencjalną woli naszych i przeciwnika.

Im bardziej uwydatnia się jego przemoc, im bardziej bezradne okazały się wobec tej potęgi inne armie naszego kontynentu, mimo, że były od naszej potężniejsze o wiele, że inny był stosunek wzajemny potencjału wojennego, względnie, że mogły korzystać z naszych krwawych doświadczeń, —tym jaśniejsze staje się, że klęska nasza nie była z tych, na które zwyciężony nie może patrzeć z podniesionym czołem.

Każdy, kto przeżywał świadomie wypadki wrześniowe, zdawać musiał sobie sprawę z ogromu potęgi moralnej, przejawionej przez naród polski w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa i w toku walki, beznadziejnej prawie od początku. Jednomyślna wola narodu podyktowała naszej polityce twarde "Nie!" wobec niemieckich żądań i gróźb. Jednomyślna wola narodu podyktowała Rządowi i Naczelnemu Dowództwu walkę do upadłego. Nigdy naród polski nie zerwał się do walki o niepodległość tak jednolity w całej swojej masie, z taką twardą zaciętością, z taką gotowością bojową. Rzucił świadomie na szalę całą swą żywotną siłę, swe mienie, swe istnienie. Złamany fizycznie, mordowany i nękany przez oprawców, nieugięty trwa dotąd w walce.

Trzeba nam było aż tu zawędrować, do Wielkiej Brytanii, by odnaleźć podobną powszechną wolę walki i podobną determinację w niebezpieczeństwie, wytrwałość wśród nieszczęść i niepowodzeń, niezłomną wiarę w końcowe zwycięstwo. Trzeba było przeżywać niszczące naloty na stolicę Wielkiej Brytanii, by odnaleźć atmosferę moralną Warszawy, czy Lwowa, czy dziesiątek miast, miasteczek, wsi polskich. Dlatego Brytyjczycy stali nam się tak drodzy, a sojusz zamienił się w przyjaźń, która przetrwać może stulecia.

Ale u nas walczono bez nadziei zwycięstwa, z nadzieją tylko, że przedłużona walka powiększa szanse odwetu. Walczono przede wszystkim tak, jak gwardia Cambronna pod Waterloo, jak Działyńczycy pod Maciejowicami, jak Sowiński na Woli: nie o niemożliwy sukces doraźny, ale o wartości wieczne. Walczył cały naród. W oczach mam dotąd nasze dzieci, harcerzyków, przejmujące na siebie straż nad obroną bierną wielkiego miasta, wyręczajace nieobecną już policję. Kobiety dźwigające ciężkie płyty brukowe na barykady. Chłopów z kosami czuwających na drogach, wyłapujących dywersantów, spadochroniarzy, szpiegów. Kobiety wiejskie, proszące, by ich krowy zabrać dla wojska, by wróg nie zabrał. A przede wszystkim te tłumy, te setki, tysiące mężczyzn, rezerwistów, poborowych, ochotników, żebrzące o broń, o wcielenie do szeregów, o możność walki za Ojczyznę.

Im więcej dziś wiemy, im głębiej rozpamiętujemy te sprawy, tym pokorniej uchylamy czoła przed narodem naszym, tak długo nie docenionym przez obcych, niekiedy brutalizowanym i znieważanym przez swoich. Z uwielbieniem dla niego, z radosną wiarą weń idziemy w przyszłość, my jego żołnierze.

Nieznośnym ciężarem waliła się na nas świadomość, że ta niezmierna siła moralna i gotowość ofiarna narodu nie były należycie wyzyskane w przygotowaniu i przeprowadzeniu naszej kampanii 1939 roku. Że dla mas, pragnących walczyć, nie było broni. Że wystawiliśmy mniej wielkich jednostek, aniżeli przewidywał plan mobilizacyjny 1925 roku. Więcej jeszcze, że była przepaść pomiędzy tym, co oddawna dojrzało w świadomości narodowej, a tym, co robiło nasze kierownictwo polityczne i wojskowe przez długie przedwojenne lata i do ostatniej chwili.

Wiemy, że od roku 1925 wojna obecna była przewidziana jako nieuchronna przez obecnego naszego Wodza Naczelnego i że w związku z tym stwierdził konieczność zorientowania całego naszego wysiłku obronnego frontem na Zachód i jego spotęgowania odpowiednio do wymagań rozprawy z tym przeciwnikiem. Wiemy, że odsunięty od kierownictwa i dowodzenia latami ostrzegał w swych publikacjach, artykułach cotygodniowych, memoriałach poufnych. Pamiętne są nam przestrogi Ignacego Paderewskiego, generała Józefa Hallera, uchwały związków byłych kombatantów, zgrupowań politycznych, wielkich zgromadzeń ludowych, liczne głosy niezależnych publicystów i że było w tym wszystkim trafne odgadywanie przyszłości i trafne wskazania. Wiemy, że tysiące ludzi uświadamiały sobie na parę lat przed tą wojną grożącą agresję niemiecką. Wiemy również, że co raz szersze masy prostych ludzi w Polsce oczekiwały tej wojny jako pewnej, w czasie gdy kierownictwo polityczne i wojskowe do ostatniego niemal dnia łudziło się, że się wszystko "rozejdzie po kościach" i że wykrywane przez nasz wywiad wojskowy i polityczny z zupełną precyzją koncentracje niemieckie były, zdaniem członków Rządu i samego wodza naczelnego, tylko "bluffem."

Wiemy, że zaskoczona została Rzeczpospolita—nie był zaskoczony naród. Że wola narodu decydowała trafnie, gdy wola kierowników błądziła po manowcach. Że naród miał słuszny instynkt i widział, zawiódł zaś doszczętnie instynkt zaślepionych w pysze rządzących i wodza. Historia przyniosła nam we wrześniu okrutną naukę o przekleństwie rządów nieodpowiedzialnych, uniezależnionych od opinii i woli narodu.

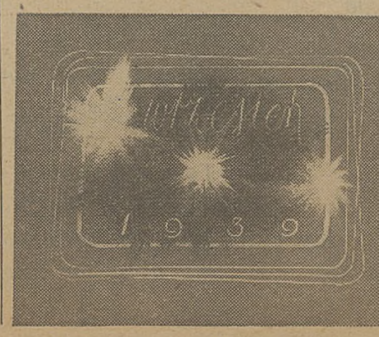
Czy wojna mogła być lepiej przygotowana politycznie? Wiemy, że w emigracyjnych "długich, nocnych rodaków rozmowach" i na łamach prasy wygnańczej odzywają się głosy usprawiedliwienia dla nieszczęsnej polityki polskiej przedwojennego czternastolecia. Że widzi się w niej coś nieuchronnie narzuconego przez politykę państw zachodnich, politykę bezwładu i ciągłych koncesji na rzecz Drugiej, i Trzeciej Rzeszy. Że widzi się szczyt mądrości w grze, zmierzającej do tego, byśmy byli nie pierwsi na rozkładzie. Gdy Hitler rzucał się na Austrię, publicznie, w prasie, piszący te słowa zwracał uwagę na to, jaka to będzie nagroda dla nas za naszą politykę pojednania z Niemcami. Taka, jaką Polifem obiecywał Odyssowi w swej pieczarze: "Zjedzon będzie, ale zjem go na ostatku."



rys. Tadeusz Lipski

Ślepy, kto tego nie widział. Czy widząc, mógł odwrócić katastrofę? Czy przy innej postawie Polski doszło by do równie haniebnej kapitulacji Zachodu w Monachium, do wydania w ręce niemieckie potężnego arsenału czeskiego, mogącego nas w błyskawicznym tempie dozbroić, do osaczenia Polski od południa, czy nie inną byłaby postawa Rosji? Wydaje nam się, że pozycja nasza była nie tylko strategicznie, ale i politycznie kluczowa. Przez samo swe istnienie Rzeczpospolita podtrzymywała w Europie środkowowschodniej porządek rzeczy oparty na niepodległości narodów. Ale polityka nasza aktywna i konsekwentna, zmierzająca do współdziałania czynnego z mocarstwami Zachodu i z Czechosłowacją, do porozumienia z Rosją, mogła nadać inny bieg historii. Nie wiemy, czy byłaby wojnie zapobiegła lub odwróciła naszą przegraną. To pewne jednak, że było by inaczej, niż było. I że było by lepiej. Że Polska, jako sojusznik Zachodu zaważyłaby we wrześniu 1938 r. na innej szali, aniżeli zaważyła w rzeczywistości.

Niczym zaś już, żadną słabością Zachodu nie da się wytłumaczyć, że gdy w końcu marca 1939 Polska, straszliwie przez pół roku odosobniona politycznie i moralnie, z czego Niemcy skwapliwie wyciągnęły konsekwencje, zdobyła się wobec żądań niemieckich na odpowiedź godną naszego narodu i zdobyła sobie tym sojusz faktyczny z Wielką Brytanią, trzeba było dalszych pięciu miesięcy, by deklaracje gwarancyjne zamienić w sojusz formalny, by zawrzeć układ o pomocy finansowej i materiałowej, że układ wojskowy nie wyszedł z mgławicy.



Jeśli się o tym wspomina, to dlatego, by się zastrzec przeciw fatalistycznemu pojmowaniu naszego przedwojennego położenia, jako byśmy nieuchronnie skazani byli na zagładę. Naród dzielny i gotowy poświęcić wszystko dla obrony swego państwa waży na losach swojej części świata, a mądre kierownictwo może grożące mu niebezpieczeństwa uprzedzić, odwrócić lub zwycięsko odeprzeć.

Czy mogliśmy być lepiej przygotowani wojskowo? Tak, gdybyśmy byli konsekwentnie realizowali wielki program generała Sikorskiego z 1925 roku, przystosowując szczegóły do nowych doświadczeń i technicznego postępu. Gdyby przez lat dziesięć nie była ciążyła nad naszymi przygotowaniami wojennymi wola wszechwładna wielkiego człowieka, nie doceniającego ani lotnictwa, ani broni pancernej, ani motoryzacji, ani w ogóle nie uznającego roli techniki w nowoczesnej wojnie.

W ostatnim pięcioleciu dokonano wiele w kierunku naszego dozbrojenia i wyposażenia naszego wojska w znakomity sprzęt, zarówno w dziedzinie broni samoczynnej, jak artylerii, broni przeciwpancernej, i przeciwlotniczej, sprzęt ilościowo niestety niewystarczający. Pozostało zdumiewające opóźnienie, wywołane głównie przez błędną koncepcję ogólną i niezdolność decyzji, w zakresie lotnictwa, które okazało się w roku 1939 stosunkowo słabsze, niż było w roku 1926. Pozostało zaniedbanie w dziedzinie motoryzacji, krzyczący niedorozwój broni pancernej.

Na usprawiedliwienie przytacza się wiele okoliczności: słabość naszego potencjału gospodarczego, finansów, przemysłu. Czy jednak zrobiono wszystko, by cały wysiłek zwrócić w tym najważniejszym kierunku, gotowości wojennej? Czy nie trwoniono pieniędzy na synekury i remuneracje, na budownictwo reprezentacyjne, na kolejki górskie i państwowe hotele, na pałace i na mnóstwo rzeczy, które już wtedy zdały się niepotrzebne i na takie, które wtedy mogły uchodzić za potrzebne, ale dzisiaj okazały się głupim marnotrawstwem? Czy powiedziano sobie, że trzeba się zastawić, aby się postawić? Że na nic nawet utrzymanie kursu złotego, na nic równowaga bilansu handlowego, na nic samowystarczalność zakładów przemysłu wojennego, gdy wszystko to może być zdmuchnięte zawieruchą wojenną? Że nic z rozbudowy gospodarczej, obliczonej na długą metę, gdy za progiem wojna? Czy nie szydzono u nas z potężnego sąsiada, że masło zamienia na armaty? Czy do ostatniej chwili cała nasza polityka finansowa i przemysłowo-handlowa nie pracowała, jakby pokój był pewny na szereg lat, a polityka zbrojeniowa z programem, zakrojonym na rok czterdziesty któryś? Czy w dziedzinie fortyfikacyj na zachodzie nie nastąpiło fatalne opóźnienie, którego w ostatniej chwili mimo pięknych wysiłków nie zdołano już naprawić?

Znowu zastrzegam, że nie o porachunki idzie, ale o stwierdzenie, że naród nasz mógł i pod tym względem więcej dokonać, by mimo fatalnego geopolitycznego położenia i słabości gospodarczej obronić swe istnienie jako państwo.

Wojsko nasze było znakomicie wyćwiczone, dowódcy i sztaby dobrze zaprawione do wojny ruchowej i manewrowej, artyleria, saperzy i wojska łączności na bardzo wysokim poziomie. Jednakże wojna manewrowa, błyskawiczna, do której było przygotowane, polegać miała wyłącznie prawie na szybkości konia — kawaleria, świetna i bardzo liczna, w cząstce tylko była zmotoryzowana, toż samo artyleria—oraz na nogach piechura, zaprawionego do forsownych marszów. Na szczeblu strategicznym wchodził w rachubę manewr kolejowy, udaremniony odrazu przez zniszczenie węzłów i ubezwładnienie kolejnictwa bombardowaniem lotniczym.

W starciu takiej armii z przeciwnikiem o kilkunastu dywizjach pancernych i zmotoryzowanych, czynnik szybkości działać musiał całkowicie przeciwko nam, nasz manewrowy system wojny nie mógł dać wyników. Jednakże tęgie wyszkolenie bojowe i wspaniały duch żołnierza pozwoliły bronić się stosunkowo długo, często skutecznie i ginąć z honorem.

Nie tu miejsce, by roztrząsać nasz plan operacyjny 1939 roku. Wystarczy zaznaczyć, że całość nieomal zmobilizowanych sił była na granicach, uwikłana została w szereg bitew, porozrywana i częściowo odcięta bez możności rekoncentracji.

W tych katastrofalnych warunkach biło się nasze świetne, bohaterskie wojsko. Biło się ze wspaniałą odwagą. Większość dowódców wyższych i niższych dokonała wszystkiego, co było w możności ludzkiej. Wielu poległo śmiercią żołnierską, wielu odniosło rany. Niektórzy zawiedli. Ale dużo więcej ich wzniosło się na wyżyny bohaterstwa, przygniatająca większość wypełniła swój obowiązek, jak przystało Polakom. Młodszy oficer i ogół żołnierski dał dowody wielkiej sprawności, bitności, wierności sztandarowi, kończącej się dopiero z śmiercią.

Nasze wojsko Kampanii Wrześniowej zasłużyło w pełni na to, by zwyciężać. Z niego jesteśmy. Z niego wyrastają nowe nasze siły na froncie wschodnim. A gdy myślimy o tych tysiącach braci żołnierzy, którzy przed dwoma laty we wrześniu i październiku legli na ziemi ojczystej, pewni jesteśmy, że ich "będzie za grobem zwycięstwo."

* * *

W Kampanii Wrześniowej Polska po raz pierwszy ukazała, że godna jest być, wedle słów prezydenta Roosevelta, "natchnieniem świata." Przekazała nam bezcenny, okupiony morzem krwi, moralny dorobek, z którego żyjemy.

Przez kampanię tę weszła jako czołowy bojownik do rodziny narodów, walczących o wielką sprawę chrześcijaństwa, wolności, sprawiedliwości. Stała się sojusznikiem wielkich mocarstw, które walkę tę zakończą zwycięsko i sprawę naszą uznały za własną.

Przez tę kampanię daliśmy naszym sprzymierzeńcom nie tylko czas na dokonanie mobilizacji i dalszy na rozwinięcie przemysłu wojennego. Daliśmy im okazję zwycięskiego uderzenia na ogołocony niemal z wojsk niemiecki front zachodni. Nie Polski już wina, że okazji tej nie wyzyskała Francja. Nie Polski wina, że nie wyzyskała następnie długiego wojennego zastoju i że ofiary nasze były na razie daremne.

Na razie tylko. Czas przyjdzie na plon z nich obfity. Dzisiaj, w rocznicę, składamy hołd tej ofierze narodu i tym dalszym, cięższym jeszcze, z żołnierską wiernością Narodowi i jego Sprawie.

Marian Kukiel

Tak się zaczęło w Poznaniu

Dzień 1-go września 1939 r. zaczął się tak, jak wiele innych dni przed tym. Ranna herbata, łyknięta w pośpiechu, papiery wsunięte do teczki, mruknięcie: "plotki Pelasiu" na wojenne prognozy gospodyni, tramwaj. Dopiero w redakcji rzeczywistość objawiła się całkiem niecodziennie. Pracowity i wrażliwy na wszystko, jak sejsmograf, Klafkowski zreferował ostatnie wiadomości radiowe. Z przedpokoju dolatywał rezonerski głos takiego pana z administracji pisma, który wszystko zawsze wiedział lepiej, ale tym razem jednak wiedział dobrze. I telefony korespondentów—Leszno, Kościan. Że artyleria niemiecka ostrzeliwuje te miasta, że doszło do pierwszych starć naszej kawalerii z piechotą niemiecką, że Niemcy dostali już w skórę, że mniejszość niemiecka z karabinów maszynowych i ręcznej broni strzela do polskich żołnierzy.

—Jak Boga kocham!—krzyczał w telefon korespondent z Kościana. Dla lepszego udokumentowania prawdy wytknął słuchawkę przez okno. Rzeczywiście terkotały karabiny maszynowe.

Redakcja podobna jest nieraz do psa grzejącego się na słońcu. Ludzie, drobne zmiany sytuacji, zdarzenia pospolite mijają bez echa. Pies nawet nie mrugnie okiem. Muchy łażą po nosie, służąca trachnęła drzwiami, zadzwonił listonosz, przed domem zahuczało ciężarowe auto. Żadnej reakcji. Najwyżej jeszcze wygodniejsze skulenie się w nieczuły kłębek. Nagle! Korytarzem lezie ktoś podejrzany. Zryw. Warkot. Już nic nie powstrzyma ostrego ujadania.

Od marca 1939 r. redakcja zwolna tępiała. Wszystkiego się można było spodziewać, wszystko dla czytelników zdawało się pospolite. Jeszcze tylko słowo "wojna" mogło rozbudzić zainteresowanie. Leszno i Kościan odezwały się na krwawo. Potem Międzychód, potem całe pogranicze; jak i kiedy który ze sprawozdawców dorwał się do telefonu.

Redakcja popadła w gorączkę słuchania radia i telefonów, pisania, przygotowywania dodatków nadzwyczajnych. Artykuł wstępny już był. Nagłówek: "Wojna polsko-niemiecka wybuchła" złożony. Korespondent warszawski doniósł o afiszach mobilizacyjnych w stolicy. Szef kroniki lokalnej Jeżewski, emocjonujący się tylko wiadomościami o kilku trupach, czy wielkim złodziejstwie, tym razem sam pobiegł do starostwa grodzkiego opisywać poznańskie pogotowie mobilizacyjne.

Trzeba jednak na dotarcie do czytelnika z wynikami tej nerwowej pracy najwyższej sankcji, sankcji cenzury. Cenzury, która w Polsce w krytycznych miesiącach 1938 i 1939 roku najbardziej przyczyniła się do stłamszenia ciągłymi konfiskatami wszelkiej ochoty publicystycznego komentowania wypadków, tak, iż pozostało tylko miejsce na patriotyczne frazesy, jakże niewspółmierne z wielkością epokowych przeobrażeń, które miały potem zetrzeć w proch to, co małe i pospolite.

Ponieważ najniższe instancje cenzury, organa wykonawcze wyższych poleceń, były głuche na logiczne perswazje, więc zawsze próbowało się dostukać pobłażliwości instancji wojewódzkiej; tym bardziej 1-go września 1939 r. Rozmowa z naczelnikiem wydziału politycznego, wojewoda był nieuchwytny, miała przebieg ciekawy. Trudno o inny przymiotnik.

—Jakie instrukcje mają panowie dla prasy wobec wybuchu wojny?—pytanie.

—O wybuchu wojny urzędowo nic nie wiem. Proszę ostrzeliwanie Leszna i Kościana traktować jako jedno z wielu, ostatnio przez Niemców prowokowanych zajść granicznych—odpowiedź.

—Ałeż panie naczelniku. . . .

—Drogi redaktorze takie mam instrukcje. Póki panowie nie otrzymają oficjalnego komunikatu P.A.T.'a o wybuchu wojny, póty nie wolno wam niczego publikować. Szczególnie zabraniam wydawania dodatków nadzwyczajnych. Mogą wzbudzić niepokój publiczny.

—Wiemy jednak, że na mieście rozlepia się w tej chwili afisze mobilizacyjne, przed którymi gromadzą się tłumy. Cóż wobec tego znaczą nasze dodatki nadzwyczajne?

—Będziemy konfiskować. . . .

—Ależ na Boga, mowa Hitlera o wybuchu wojny jest powtarzana już po raz drugi przez niemieckie stacje. Raszyn nadaje od godziny komunikaty wojenne, przerywane szyframi wojskowymi.

—Polskie radio nie stanowi dla urzędu wojewódzkiego źródła miarodajnego, ogłaszającego istnienie wojny.

—My wobec tego ryzykujemy konfiskatę.

—Wasza wolą. Przepraszam, ale muszę kończyć. Zgłasza się telefonicznie starosta Nowego Tomyśla.

I tak się stało, że w chwili, gdy pierwsze samoloty niemieckie bombardowały Poznań—do drukarni "Dziennika Poznańskiego" wkroczyła policja, aby skonfiskować numer gazety, na której pierwszej stronie widniał tytuł: "Wojna polsko-niemiecka wybuchła." Drugiego wydania, ze względów technicznych, nie można już było drukować.

Wojna zaczęła się dla redakcji od konfiskaty.

Tymczasem każda godzina tego dnia darła świstki biurokratycznych zarządzeń. Wywalczyliśmy sobie prawo drukowania i rozpowszechniania—powaga słów jak w kodeksie prasowym—"wydań nadzwyczajnych." Nie kijem go to pałką. Nie "dodatek," to "wydanie." Sprzedawaliśmy dziesiątki tysięcy. Najpierw docierało coś z tego na prowincję, potem komunikacja się urwała. Informowaliśmy tylko Poznań. Również z drukarni "Kuriera Poznańskiego" co dwie godziny wybiegali sprzedawcy z nowymi wydaniami.

Miasto robiło wrażenie widowni wielkiego teatru, czekającej na rozpoczęcie przedstawienia. Gaszą światła. Ciemno. Gdzie niegdzie błyska latarka kieszonkowa. Gdzie niegdzie po bramach chichoty wyrostków, jakby w czasie próbnego alarmu. Ulicami terkocą motocykle wojskowe. Pełno policji. Ale kurtyna jeszcze spuszczona. Nikt nie przeczuwa, jak wspaniałą, pełną poświęceń tragedię Opatrzność przygotowuje Polsce na scenie historii.

Telefony urwane. Rozmawiają tylko urzędy i wojsko. Po informacje biegamy teraz do referatu informacyjnego D.O.K. Jeszcze w gmachu przy Alejach Marcinkowskiego. Żandarmi sprawdzają legitymacje, w korzytarzach ciemno. Gdzie niegdzie z otwieranych drzwi bucha światło, aby zaraz znowu przygasnąć.

Jesteśmy za kulisami, snują się główni aktorzy tej wojny. Zakurzeni oficerowie, adiutanci i gońcy. Co raz to z dźwiękiem ostróg wpada któryś z wyższych dowódców. Padają kryptonimy. Pytania. Co u ciebie słychać? Żadnego popłochu, systematyczny porządek, wszak role dawno rozdane, wyuczone i przepróbowane—i tu w sztabie i tam w terenie. D.O.K. rozpływa się powoli w dowództwo armii generała Kutrzeby. Dziennikarz nie śmie o to pytać. Tajemnica wojskowa. To jest tak zrozumiałe, jak zrozumiała jest tajemnica spowiedzi.

I tutaj jednak to samo niewyczuwanie wstrząsającej grozy zdarzeń, która zawisła już jak chmura gradowa nad Polską. Nie słychać kto mówi, do kogo. Słychać tylko urwane zdania:

—Opole szturmem wzięte.

—Kawaleria polska głęboko w Prusach Wschodnich.

—Gdańsk nasz.

—Francja wypowiedziała wojnę.

Szef referatu informacyjnego tych wiadomości nie potwierdza. Szef sztabu znajduje czas, aby poradzić dziennikarzowi odczekanie jutra. Wyższe szczeble wojskowe nie łudzą. Stwierdzają tylko faktami i aresztowaniami, że mniejszość niemiecka po miasteczkach wielkopolskich jest świetnie zorganizowaną, dywersyjną awangardą ruchu wojsk niemieckich.

Dzień początku galopuje minutami w ciemną noc. Nad krokami przechodnia, uprzywilejowanego nocną przepustką, czuwa jeszcze policja. Ulice wydają się ludne. Przed domami gwarzą komendanci pogotowia lotniczego. Ale pod stopami już chrzęszczą resztki zbitych szyb i gruzy poniszczonych bombami gzymsów. Wschodzi księżyc. Jego ciekawe, choć tak wiekowym patrzeniem na zbrodnie zobojętniałe oko mierzy ze znawstwem głębokość szczelin w ścianach wielu domów. Z okolic dworca i zakładów umundurowania snują się dymy pogorzelisk.

W domu spór. Gosposia prosi o rozstrzygnięcie czy wpuszczać niemiecką rodzinę do piwnicy w czasie nalotów, czy też nie. Przez cały dzień kucharki wiodły dyskusję na ten temat.

—A jakżeście rozstrzygnęły?

—Że trzeba wpuszczać; przecież to ludzie, musimy czymś różnić się od tych zbójów co na nas napadli.

Jakiś fałszywy alarm, płacz i bieganina po schodach, sen. I znowu dzień, rozpoczęty całkiem prozaicznymi troskami. Zdrożało pieczywo, nie ma masła, mówią, że rzeźnicy nie mają zapasów. Potem kuchenne wiadomości z placu boju, że lotnicy niemieccy zrzucają cukierki, pewno zatrute, aby uśmiercać dzieci.

Potem pierwszy szok wojny. Jedna z koleżanek dziennikarek zdenerwowana i zapłakana wpada z plecakiem w ręce do mieszkania. Chce jechać do rodziny, do Warszawy i prosi o ułatwienie wyjazdu jakąś legitymacją. Radzę pójść na dworzec, gdzie zaraz zjawię się sam, gdyż zamierzam udać się do Warszawy po pieniądze dla przedsiębiorstwa. Zamierzam zresztą szybko wrócić z Warszawy do—naszego miasta.

Rada równie pospolita, jak niedorzeczny jest zamiar. Dramat rozpoczęty, a nawet dziennikarz nie zdaje sobie sprawy z grozy powikłań, z nieoczekiwanych zaskoczeń sytuacji, z samego zawiązku akcji. W czasie drogi na dworzec—alarm lotniczy. Bomby znowu w okolice dworca. Niemcy paraliżują centra komunikacyjne. Dworzec zaśmiecony odłamkami szkła. Nikt nie pyta o bilety. Wszędzie pusto, tylko od czasu do czasu jacyś zaaferowani cywile taszczą tłomoki z pościelą.

Na posterunku, jak zawsze, jest naczelnik dworca Wojciechowski. Oczy zapadłe w gorączce, twarz niegolona, głos ochrypły. Urzęduje w pokoju zasypanym gruzami, próbuje sumiennie wykonać instrukcje mobilizacyjne, próbuje w warunkach, jakich te instrukcje nie przewidziały. Do Warszawy? Bez odpowiedzi wskazuje ręką na drugi peron. Do Warszawy?

—Niech Pan spróbuje!—szepce.

Na drugim peronie stoi pociąg złożony z wagonów towarowych, starych, wyciągniętych gdzieś z kąta warsztatów. Pociąg załadowany kuframi i ludźmi. Dosięgła ich już groza pierwszych bombardowań, oni już rozumieją. Jest i moja koleżanka. Biega, szuka miejsca i nie znajduje. Za kilka dni zobaczę ją wędrującą pieszo miedzami do Warszawy, unikającą bombardowanych szos.

Wracam do redakcji. Wreszcie też rozumiem, że z naszej strony wojna ta dotknie przede wszystkim cywilną ludność, zniszczy egzystencje, będzie cofaniem się, mordowaniem niewinnych i starciem nierównych sił.

Walizka wlazła pod kanapę. Redakcja dalej urzędowała normalnie. W przerwach między jednym i drugim nalotem wyszły nowe wydania nadzwyczajne. Personel techniczny pracował z najwyższym poświęceniem, natomiast w mieście narastała psychoza ewakuacji.

Walki pod Częstochową. Głęboki klin niemiecki więźnie w Pomorzu. Dramat pęczniał powagą powikłań już w pierwszym akcie. Stawało się jasne, że bitwa rozgrywać się będzie w sercu Polski a nie na jej granicach. Miasto opuszczały co raz to nowe samochody załadowane dobytkiem, przepełnione ludźmi, w których oczach zaczął świtać strach.

Urzędy działały jeszcze normalnie. Wojsko i województwo przyjęły z radością projekt prezesa Syndykatu Dziennikarzy Czesława Kędzierskiego, aby stworzyć kwaterę dziennikarską pomocną władzom w zakresie propagandy. Nie chcieliśmy wierzyć. Odrzucaliśmy przypuszczenie, że nie będziemy bronić naszego miasta.

Niedziela przyniosła rozczarowanie, raczej utwierdzenie obaw pesymistów. Dziennikarze na próżno stukali do gmachu starostwa dla zaczęcia pracy kwatery dziennikarskiej. Starostwo nagle "się" czy "zostało"—wyewakuowane. Ba! Policjant groził aresztowaniem za dobijanie się do pustych biur. Wojewoda, który uprzedniego dnia nie chciał rozmawiać o wyjeździe rodzin dziennikarskich, gdyż nie pozwoli robić paniki, też opuścił miasto. Wojsko, pakując skrzynie w schronach na cytadeli, zaznaczyło, że za bezpieczeństwo kilku specjalnie politycznie zagrożonych dziennikarzy gwarantuje tylko do poniedziałku godziny 6-ej rano.

Dzień zeszedł na wydaniu "dodatku nadzwyczajnego," bo cenzury nie było, oraz na szukaniu i przygotowywaniu autobusu dla ewakuowania kilku rodzin dziennikarskich, m.i. rodzin dziennikarzy polskich z Gdańska. Autobus był gotów nocą. Wielki "Saurer." Przy załadowaniu bezwzględność chwili pokłóciła się z tym, do czegośmy przywykli, z czym zżyliśmy się, cośmy uw[illegible]i za niezbędne. Ta z pań rad[illegible]y zabrać kołdry, a tamta, że może by ulubionego psa, a inna, że trochę obrazów. Rozstrzygał szofer. Nie! Za dużo!

Kiedyśmy z opuszczającym Poznań prezesem Kędzierskim padli sobie w ramiona, gdy zachrobotał motor autobusu, gdy wiele tych "gdy" zbiegło się w jedno wrażenie rozstawania z przeszłością, na zamku poznańskim biła godzina 3-a w nocy.

Księżyc z tym samym spokojem,—przez cały wrzesień pozostał niewzruszony w swym wykrzywionym uśmiechu,—patrzył na zupełną ciszę miasta. W plantach żywej duszy; trawniki rozorane kopytami końskimi artylerii, która stąd wyruszała w pole. [illegible]a ulicach pustki. Policji nie[illegible]o, wymaszerowała w ślad za urzędami. Krok na kamiennych taflach chodników rozbrzmiewał ponuro i głośno jak u kogoś, kto wdarł się w tajemnicę starego zamku.

Most teatralny. Tory pod nim puste. Semafory rozebrane—kolejarzom udało się jednak wykonać instrukcje mobilizacyjne. Ostatnie pociągi dawno odeszły. Ulica Dąbrowskiego—jak ciemny kenion. Ulica Jasna, jak aleja opustoszałego parku. Kaponiera z zarysami budynków Uniwersytetu, zdala Zamek, Ziemstwo—jak gipsowy model miasta, które dopiero ma być zbudowane. Ulica Focha? Ożyła nagle galopem kilku ułanów. Wypadli z Bukowskiej. Ostatki odwrotu naszych wojsk za Wartę.

Cmentarze na Bukowskiej—przeszłość. One w każdą noc tak samo milczą. Duchy tych, którzy tam śnią sen wieczny, lepiej rozumieją to, co się dzieje; mają perspektywę wieczności, więc przemijania. W konarach drzew, które czerpią soki bujnego rozrostu z komórek zmarłych, kwilą w nocnym odpoczynku ptaki. Symbol ciągłości życia i śmierci, rodzenia i zgonu. Symbol przeradzania się zła w dobro. Odcinek Bukowskiej ku granicy niemieckiej—latami całymi projektowano poprowadzić tędy wielką autostradę do Berlina—ciemnością szpaleru starych topoli straszy, jakby stamtąd miały zaraz wypłynąć groźne widma, jakieś białe płaszcze z krzyżami, pikelhauby, swastyki w otoku czerwieni, trupie czaszki na czarnym tle. Na Przecznicy nawet głosy komendantów obrony przeciwlotniczej zamilkły. Wielu z nich wyjechało z tobołami.

W domu zacząłem palić papiery. I mnie tu długo trwać nie przyjdzie.

Józef Winiewicz

KIEDY PŁONĘŁY W WARSZAWIE KOŚCIOŁY

Kiedy płonęły w Warszawie kościoły,
Błyskała groza swymi oczodoły,
Wówczas w katedrze u Świętego Jana
Bomby otwarto na przyjęcie Pana;
Wówczas w kościele smukłym Zbawiciela
Gruzem ołtarzy na nieprzyjaciela;
Wówczas z kościoła, co stał na Koszykach
Z naręczy ognia Bóg twarzą przenikał. . . .

Kiedy pałace płonęły w stolicy,
Smutny Belweder stał i bladolicy;
Teatry dały z ognia przedstawienie;
Pałac Potockich zmięty przez płomienie,
Wykusze domów zgniotły pałac Bruehla,
Wiekowy Zamek żarząc się jak chwila
W górę unosił boleśnie, bez miary,
Historię, która odnowi gmach stary.

Kiedy i gmachy i ludzie ginęli,
Wiało żałobą, lecz zemstą dyszeli
U nas we wrześniu, w męczeńskiej Warszawie
Wśród ulic, w grobów bezcennej oprawie,
Bohaterowie tragicznego miasta:
Żołnierz, lub starzec, albo i niewiasta,
Kiedy nie stało tych, co w czeluść śmierci
Szli bramą własnej krwi zły los przewiercić. . .

I wówczas tylko nieliczni widzieli,
Że już tak samo płonęli, ginęli,
Tymi samymi ranami okryci,
Ci, co w Norwegii budzą lodu wici,
Ci, co w Holandii czczą kościoły święte,
W gotyk wiekami mistrzów ręką wklęte;
W pałace Belgii, w francuskie fabryki
Już wtedy wkraczał barbarzyńca dziki!

Widzieli wtedy, i dziś widzą jasno,
Oczami, które myto krwią ich własną
A pożarami wciąż doskonalone,
Że barbarzyńcy hordy niezwalczone
Toną jak w mazi piekielnej wśród zgliszczy,
Że je sam Pan Bóg osobiście niszczy.
Ich własnym mordem, własnym ich płomieniem,
Wdeptując w nicość zły miecz, złe nasienie. . . .

Wawrzyniec Czereśniewski

Ciężkie dni Śląska

Kiedy po okupacji Czechosłowacji doszło do publicznej wiadomości, że Trzecia Rzesza zażądała od Polski oddania Gdańska, autostrady przez Pomorze i jednego z największych węzłów kolejowych w środkowej Europie—Bogumina, dla każdego Polaka stało się jasne, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Niewiadomy był tylko czas jej wybuchu. Wypadki toczyły się szybko i w końcu kwietnia Hitler zerwał pakt o nieagresji; wybuchu wojny spodziewano się każdej chwili.

Na Śląsku, jak zresztą i w całej Polsce społeczeństwo zdawało sobie sprawę z powagi chwili, jednak ani na moment nie można było zauważyć w nastrojach zewnętrznych jakichkolwiek wahań, czy obaw przed mającą nastąpić pożogą wojenną. Wierzono, że Polska będzie się bronić i nie odda bez walki skrawka ziemi. Obawy były natomiast o to, czy jesteśmy dostatecznie dobrze przygotowani, by się obronić.

Na Śląsku społeczeństwo może bardziej, niż w innych częściach kraju, było świadome siły militarnej Niemiec. Złożyły się na to: długa niewola, powstania, plebiscyt, a wreszcie i to, że dużo Polaków nie mogąc znaleść zatrudnienia we własnym kraju, znalazło pracę tuż zagranicą i codziennie przyglądało się rosnącej potędze Niemiec. Przesiąkały więc wiadomości o przegrupowaniu wojsk i ćwiczeniach w strefie przygranicznej, mobilizacji, gromadzeniu zapasów oraz ewakuacji najpierw szkół, a potem i ludności.

Nie wpłynęło to w niczym na osłabienie ducha walki, tkwił jednak w sercach głuchy żal, że rząd wierząc w pakt o nieagresji, nie dość wcześnie pomyślał o przygotowaniu granic zachodnich do obrony, a w szczególności Śląska—centrum przemysłu polskiego. Budowa zapór przeciwczołgowych, zresztą nieukończonych, zapory wodnej na rzece Soła, oraz stanowisk dla ciężkiej artylerii—nie złagodziły w niczym żalu. Zdawano sobie sprawę, że te przygotowania są konieczne, ale niewystarczające.

Tym uporczywiej powracało pytanie, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani, czy mamy dosyć sprzętu wojennego. Pytanie ile mamy samolotów i ile wojsk zmotoryzowanych było na porządku dziennym. Przygotowania ludności cywilnej do obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej posuwały się na przód, jednak niemożność uzyskania czy to potrzebnego sprzętu, czy masek przeciwgazowych, nasuwały pytania, czy choć wojsko jest zaopatrzone w te rzeczy. Braki te nie wpłynęły w niczym na przygotowania. Wzmiacniano piwnice, uszczelniano drzwi i okna, kopano rowy ochronne i t.d.

W napięciu oczekiwano przemówienia ówczesnego Naczelnego Wodza w dniu 6-go sierpnia, podczas uroczystości legionowych. Przemówienie to nie tylko nie przyniosło oczekiwanego uspokojenia, ale pogłębiło wątpliwości do tego stopnia, że społeczeństwo zaczęło się przekonywać, że nie jesteśmy przygotowani do wojny, która może się w każdej chwili rozpocząć.

Duch bojowy nie tylko nie osłabł, ale wzmógł się: "Jeżeli nie jesteśmy przygotowani pod względem uzbrojenia, to gotowością duchową nadrobić musimy braki nasze." Zdanie to usłyszałem od rdzennego Ślązaka, uczestnika trzech powstań, prostego robotnika fabrycznego, który podkreślił w rozmowie, że nie mówi tego tylko w swoim imieniu, bo tak myśli cały lud śląski.

Częściowa mobilizacja nie wywołała przygnębienia: powołani z ochotą odjeżdżali do szeregów. Zdarzył się wypadek, że matka przyniosła sama do fabryki powołanie dla syna, przynaglając go do pośpiechu, aby się nie spóźnił. Popłakiwała z żalu za swym jedynakiem, ale nie skarżyła się, że syn idzie na wojnę i może zginąć. Nie było słychać narzekania. Na twarzach odbijał się wyraz powagi i skupienia. W rozmowach odżywały wspomnienia wojny światowej, walk powstańczych i plebiscytowych.

Troską wszystkich było zdrowie śp. Wojciecha Korfantego, przywódcy ludu śląskiego, szermierza oraz wodza wszystkich powstań i walk plebiscytowych, budziciela polskości. Dogorywał w tym czasie w szpitalu, zwolniony z więzienia. Śmierć Jego uderzyła jak grom z pogodnego nieba. Odszedł, lecz ziarno, które zasiał wydało plon zdrowy. Pogrzeb Jego był manifestacją polskości Śląska. Lud śląski żegnając się z Nim przysięgał, śpiewając:

"Duch będzie nam hetmanił,
Twierdzą nam będzie każdy próg,
Tak nam dopomóż Bóg."

W tej ciężkiej chwili nie starano się roztrząsać mimo poczucia krzywdy, dlaczego śp. Korfantego aresztowano po powrocie z zagranicy. Osąd i wyświetlenie tej sprawy pozostawiono do spokojnych czasów. Determinacja ogarnęła lud śląski i niejednokrotnie dało się słyszeć, że w powstaniach mieliśmy większe szanse powodzenia, niż obecnie. Chęć walki z odwiecznym wrogiem usunęła na plan dalszy spory wewnętrzne i zawód jaki ich spotkał ze strony czynników odpowiedzialnych za przygotowanie obrony.

Nienawiść do Niemców wzmagała się z dniem każdym, to też kiedy zaaresztowano na Śląsku Niemców podejrzanych o sprzyjanie wrogom, policja miała dużo kłopotów w wielu miejscowościach, by nie dopuścić do samosądu. A już niezrozumiałe było dla społeczeństwa śląskiego zwolnienie Niemców zaaresztowanych tuż przed wojną w związku z wykryciem arsenału broni. Zwolniono kilkaset osób, powiększając szeregi dywersantów.


Morgenausgabe
10 Pf., auswärts 15 Pf.
Berliner
Lokal-Anzeiger
Freitag, 1. September 1939
Nummer 209 Organ für die Reichshauptstadt 57. Jahrgang

Polen lehnt Frieden ab
Inhalt der deutschen Vorschläge
Rückgabe Danzigs – Volksabstimmung im Korridorgebiet – Englische Vermittlungsversuche ergebnislos
Provozierendes Verhalten Warschaus – Entsendung eines Unterhändlers abgelehnt
Berlin und Moskau ratifizieren den Nichtangriffspakt
Polnische Ueberfälle auf Reichsgebiet

Sender Gleiwitz besetzt
Polen drangen in Senderaum ein – Blutig hinausgeworfen
Telegraphische Meldungen
DNB Breslau, 31. August
Etwa um 20 Uhr heute abend wurde der Sender Gleiwitz durch einen polnischen Ueberfall besetzt. Die Polen drangen mit Gewalt in den Senderaum ein. Es gelang ihnen, einen polnischen Aufruf in polnischer und zum Teil in deutscher Sprache zu verlesen. Sie wurden aber schon nach wenigen Minuten von der Polizei überwältigt, die von Gleiwitzer Rundfunkhörern alarmiert worden war. Die Polizei mußte von der Waffe Gebrauch machen, …

DNB Berlin, 31. August
Die Königlich Britische Regierung hat sich in einer Note vom 28. August 1939 gegenüber der Deutschen Regierung bereit erklärt, ihre Vermittlung zu direkten Verhandlungen zwischen Deutschland und Polen über die strittigen Probleme zur Verfügung zu stellen. …

Extrablatt des BLA

Dokument perfidii niemieckiej: "Berliner Lokal-Anzeiger" z 1-go września 1939, twierdzący, że "Polska odrzuca pokój" i że "Polacy zajęli radiostację w Gliwicach."

Po ogłoszeniu mobilizacji powszechnej zwartość społeczeństwa jeszcze się wzmogła. W fabrykach pracowano bez wytchnienia i przerwy oraz bez większego zdenerwowania. Podniecenie ogólne wzrosło. Pytanie:—kiedy?—było na wszystkich ustach. Lud zdał egzamin. Był spokojny i zdecydowany. Wkońcu wojsko zaczęło zajmować pozycje i ujrzano szczupłe oddziały, wprawdzie dobrze ubrane, lecz słabiej uzbrojone. Karabinów maszynowych nie było widać, ani innych broni towarzyszących. Piechota i piechota.

Z brzaskiem dnia 1-go września rozpoczęły się oczekiwane działania wojenne. Nie ryk syren alarmowych oznajmił zbliżanie się pierwszego nalotu, lecz wybuchy zrzucanych bomb.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy zbudzony ze snu jakimś łoskotem, zerwałem się i narzuciwszy na siebie ubranie, wypadłem na ulicę. Ujrzałem ludzi z głowami zadartymi do góry, przyglądających się jak lotnicy niemieccy bezkarnie latali na wysokości około 1500-2000 m. Warkot samolotów przerywany był hukiem dział artylerii ciężkiej. Pobiegłem w kierunku fabryki. Po drodze spotykałem robotników miejscowych, którzy zdążali na wyznaczone posterunki. Najbliżej mieszkający byli już na stanowisku. Reszta nadeszła z małym opóźnieniem. Nie zjawili się ci, którzy mieszkali tuż przy granicy. Nie zdążyli.

Służby bierne przeciwlotnicze i przeciwgazowe zajęły wyznaczone im miejsca. W komendzie fabryki ustawiony głośnik radiowy—bez przerwy wyrzucał ze siebie: "Hallo! Hallo! Uwaga! Nadchodzi! Przeszedł!"

Koło godz. 6-tej przejechał drogą prowadzącą przez środek fabryki oddział piechoty na rowerach. W jakiś kwadrans potem odezwały się pojedyńcze strzały karabinowe, potem co raz częstsze, w końcu regularny warkot karabinu maszynowego. Odgłosy strzałów zbliżały się powoli, lecz stale!

Kierownictwo fabryki próbowało się połączyć telefonicznie ze Starostwem w Pszczynie. Nie można było uzyskać połączenia z powodu przeciążenia linii.

Rozmowa z Wydziałem Przemysłu i Handlu Województwa Śląskiego, co robić, czy niszczyć zapasy i urządzenia fabryczne, gdyż front się bardzo szybko zbliża—nie dała żadnego wyniku. Nie chciano wierzyć, że Niemcy są tuż pod Mikołowem, idąc od strony Orzesza. Dla dyrekcji była to sprawa ważna, gdyż fabryka była położona na przedpolu umocnień przeciwczołgowych i trzeba się było zdecydować na szybkie działanie. Szły niemieckie oddziały ze wszystkich kierunków poprzedzane czołgami i zmotoryzowanymi oddziałami.

Około godz.9-ej nadjechał na motocyklu goniec od oddziałów walczących, chcąc się połączyć z dowództwem w Mikołowie. W kwadrans potem, ujrzeliśmy oddział polski wycofujący się powoli i ostrzeliwujący się napierającym Niemcom. Na terenie samej fabryki dwóch żołnierzy zostało ciężko rannych, opatrzono ich prowizorycznie na miejscu.

Kiedy oddział wycofał się poza obręb fabryki, nadjechał kapitan dowodzący na tym odcinku i zażądał natychmiastowego wyewakuowania personelu kierowniczego i technicznego oraz wszystkich zdolnych do noszenia broni.

Wyszli więc wszyscy, zabierając rannych żołnierzy. Nie zdążono zniszczyć nic prócz transformatora. Unieruchomiono w ten sposób fabrykę na jakiś przeciąg czasu. Niemcy nie zajęli fabryki tego samego dnia, obawiając się zasadzek. Zajęli ją w trzy dni potem.

Wycofaliśmy się do Mikołowa, przechodząc przez linie umocnień. Personel techniczny wyjechał cały.

Po drodze spotykaliśmy ciągnące na pozycje wojska i artylerię oraz oddziały saperów. Powoli posuwaliśmy się w kierunku Murcek, gdzie stał sztab dywizji. Nie dawano wiary, kiedyśmy opowiadali, że Niemcy doszli już do umocnień przeciwczołgowych. Walka na umocnieniach rozgorzała dopiero pod wieczór i trwała bez mała 48 godzin. Miejscowość Wyry—wieś, przechodziła trzy razy z rąk do rąk, walczył tam 73 pułk piechoty śląskiej.

Część ludzi, którzy wyszli z fabryki, zgłosiła się natychmiast do wojska. Starsi nie chcieli iść dalej, woląc umierać na własnej ziemi, o którą walczyli ich przodkowie, broniąc się przed germanizacją, o którą walczyli sami w powstaniach i chcieli walczyć dalej, pozostając na miejscu. Domagali się broni, aby móc dołączyć się do szeregów walczących. Niestety broni nie było.

Lud śląski zdał egzamin w całej pełni! Przez blisko 600 lat opierał się naporowi germanizacyjnemu, a czynnie w powstaniach i podczas plebiscytu dowiódł swej polskości. Walki wrześniowe potwierdziły, że walczył, echa po wrześniu potwierdzają, że walczy w całej pełni. Walczył i walczy o wolność nie tylko swoją, walczył i walczy z przeświadczeniem, że walka ta przywróci wolność i przyłączy do Macierzy tych, którzy pozostali zagranicą. Wierzyli—i jak dochodzą wieści—wierzą, że cały Śląsk musi po tej wojnie należeć do Polski, jako jedna nierozerwalna całość.

Jan Stasiak

RAPORT

Z "Antologii poezji współczesnej" wydanej konspiracyjnie w Warszawie przez osobę ukrywającą się pod pseudonimem Narcyz-Kwiatek wyjmujemy wiersz następujący:

Żołnierz polski, obrońca Warszawy
W grobie wspólnym się zbudził ze snu.
"Dziś rocznica"—więc otarł pył krwawy
I zaczerpnął w pierś przebitą tchu.

Potem braciom, poległym w stolicy,
Żołnierz polski taki raport zdał:

—"Polska żyje!—na każdej ulicy,
W każdym domu bój o Polskę trwa!

Przysięgaliśmy bronić Warszawy
Do ostatniej kropli krwi. Po zgon.
Dziś rocznica. Z ofiar naszych krwawych
Każda kropla da stokrotny plon!"

Tomasz

PROSTY DIALOG

—Hallo, stary! . . .
Co to! Tata
dziś nie tego? Nie w humorze?
Zgaga piecze?
—Nie, broń Boże!
tylko widzisz: dziś dwa lata . . .

Jak pomyślę:
dom się bieli,
jak tu, w różach, o poranku . . .
Dzieci właśnie były w ganku,
no, i widzisz—przylecieli.

Zahuczało coś na górze . . .
Potem płatków biała smuga,
potem seria—jedna, druga . . .
i krew . . . potem krew na murze . . .

Tak mnie dzisiaj . . . tą żałobą . . .
Nie masz whisky?
—Nie, bo lecę!
—A to wal, jak w jasną świecę!
—Pewnie!
—Czekaj! Lecę z tobą!

Antoni Bogusławski

Wrzesień 1939

Trzecie odznaczenie w konkursie fotograficznym „Polski Walczącej”

Oskar Jazdowski



Zduńska Wola



Zduńska Wola



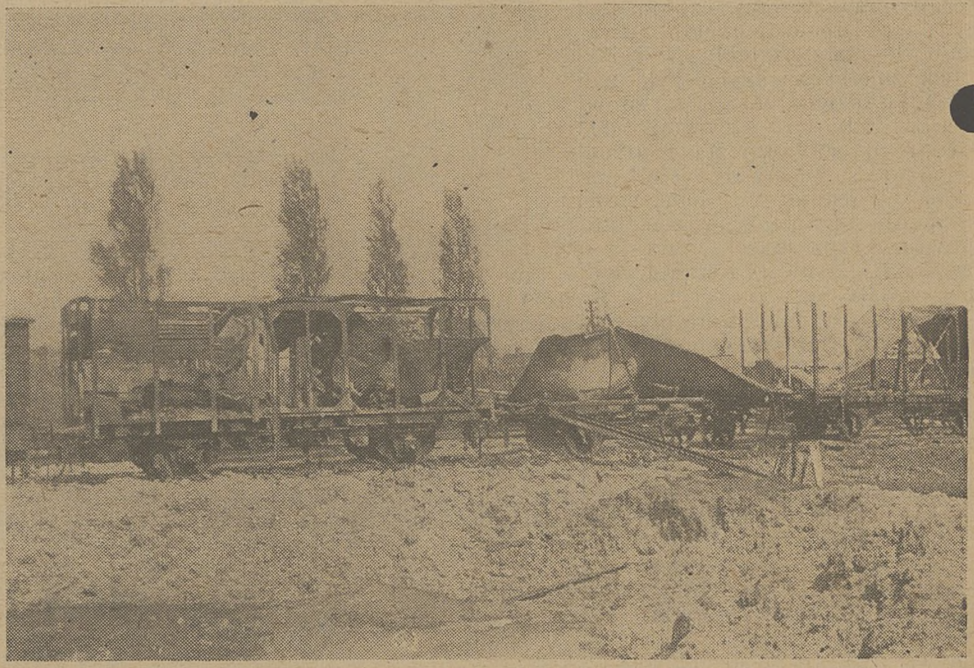
Zduńska Wola



Szadek



Garwolin



Łowicz



Sieradz



Pod Rososzycą koło Sieradza

Wspomnienia z obrony Warszawy

III.*

Powróćmy do wypadu wykonanego przez kompanię Lwowskiego pułku piechoty.

Po zaprzestaniu przez Niemców ognia karabinów maszynowych, wyszła jedna kompania. Kompania ta niepostrzeżenie dotarła na najbliższą odległość do niemieckich karabinów maszynowych, uderzyła bagnetem i wdarła się na " Kozią Górkę." Kilkanaście granatów ręcznych wystarczyło, aby Niemcy zaskoczeni tą " bezczelnością " jednej kompanii porzucili broń i bez strzału poddali się. Kompania ta zabrała do niewoli jedną kompanię Niemców oraz podpułkownika i kilku oficerów. Obydwie kompanie t.j. polska i niemiecka szybko odeszły na Pragę i oto huragan ognia zwalił się na . . . pustkę.

Tej samej nocy podobny wypad był wykonany na Grochowie gdzie poddało się 113 żołnierzy niemieckich.

Podczas mego pobytu na tym odcinku obrony, Niemcy raz jeszcze zarzucili nas ulotkami. Treści tych ulotek nie pamiętam. Dość, że była ona jeszcze bardziej obłudna, jeszcze bardziej słodziutka i jeszcze bardziej szczodra w obietnice rozmaitych usług i przywilejów tak dla obywateli, jak żołnierzy w wypadku poddania się. Rezultat tych ulotek był jednak taki sam jak poprzednich.

19 września otrzymałem rozkaz powrotu do pułku. Było to podyktowane tym, że na odcinku Radzymińskim nie było żadnego odwodowego batalionu. Kierunek ten był jednym z najważniejszych, gdyż w razie włamania się Niemców w nasze ugrupowanie na tym odcinku, nieprzyjaciel odcinał od mostów na Wiśle załogę Targówka i Utraty.

W nocy więc z 19 na 20 powróciłem z batalionem na stare miejsce, zdając odcinek batalionu dywizji Lwowskiej i znów pozostawiając kilkanaście świeżych mogił w ogrodach przylegających do ulic: ks. Ziemowita i Księżnej Anny.

Byłem ogromnie wyczerpany bezsennymi nocami, ciągłą straszliwą zgryzotą o los tych kompanii, z którymi łączność nie istniała. Takich okresów miałem kilka na dzień. Poza tym jeszcze jedna okoliczność w wysokim stopniu potęgowała zmęczenie. Na ulicy ks. Ziemowita z braku odpowiednich pomieszczeń dowództwo batalionu, centralę, radiostację oraz punkt opatrunkowy trzeba było umieścić w jednej piwnicy. Pomijając fakt, że budynek, w którym była piwnica znajdował się w odległości 10 metrów z tyłu od pierwszej linii nędznych, osypujących się okopów, pomijając fakt, że Niemcy doskonale widzieli ten dom z " Koziej Górki " i jeżeli go nie zrównali z ziemią, to tylko dlatego, że nie wiedzieli, że tam mieści się aż tak " wysokie " dowództwo.

Otóż pomijając te fakty, ciągły, przeraźliwy jęk rannych, zapach świeżego ludzkiego mięsa, od którego mdliło i wymioty lżej rannych—okropnie utrudniały pracę. Natomiast wyziewy brudnych i zakrwawionych szmat uniemożliwiały w ogóle jakikolwiek odpoczynek. Były noce, kiedy przynoszono po kilkunastu rannych żołnierzy i kilkudziesięciu rannych cywilów. Wtedy drzwi do piwnicy nie zamykały się. Jednych wnoszono, drugich po zaopatrzeniu wynoszono.

Kresem zaś tego piekła była noc, kiedy jakiś cywil przyniósł przy pomocy żołnierzy kobietę, która nie była ranna ale z minuty na minutę miała odbyć połóg. Tej nocy chyba do grobu nie zapomnę. Przez zatkane plecakami okna piwnicy, będące na wysokości ziemi, przedostawało się wycie dziesiątków karabinów maszynowych, drzwi co chwilę ktoś otwierał i wtedy widać było czerwone niebo nad Pragą. Nie ustawały okropne jęki rannych i w dodatku do tego iście diabelskiego koncertu dochodziło zwierzęce wycie nieszczęsnej kobiety, która w tych strasznych chwilach urodziła syna. Całe szczęście, że lekarz batalionu, który przyszedł na miejsce poprzedniego, jakkolwiek był chirurgiem, jako tako znał się na porodach, i ciągnął mającego się pojawić na świat młodego Polaka, jak tylko mógł. No i wyciągnął! W tym jednak samym czasie następowała agonia plutonowego rannego w głowę. Jeden Polak opuszczał ten świat, a drugi przychodził jak gdyby na jego miejsce.

Wszystko to z jakąś bolesną wyrazistością miałem w pamięci, gdy przyszedłem na stosunkowo spokojny odcinek. Przyszedłem jak gdyby po to, aby znów zobaczyć jeden pamiętny obrazek. W pół godziny przyszedł to mnie drugi adiutant dowódcy pułku i powiedział, że o godz. 13-ej, kilometr na prawo i jeden na lewo od szosy Radzymińskiej zostanie przerwany ogień na trzy godziny celem dania możności opuszczenia Warszawy korpusowi dyplomatycznemu. Istotnie o tej godzinie na tym odcinku zapanowała cisza. Lecz i tym razem Niemcy wyczuli sposób grania na nerwach i pokazali co potrafią. Równocześnie z przerwaniem ognia na dwu-kilometrowym pasie Niemcy zgrupowali ogień artylerii tak, że utworzyli wąski korytarz, którego ściany zaznaczały potężne słupy czarnego dymu, słupy wylatującej w powietrze ziemi, pożary, walące się ruiny oraz istne kłębowisko czarnych i białych szrapneli.

Korzystając ze " spokoju " zaczęliśmy załatwiać wszystkie " zaległe sprawy." Spraw tych było dużo—podwiezienie pewnych zapasów jedzenia, amunicji, zapasowego sprzętu, pogłębienie okopów i rowów przeciwpancernych. Ten czy ów skoczył do Warszawy wykąpać się. Każda minuta tych trzech godzin liczona była na wagę złota.

Lecz oto zaczęły się ukazywać wykwintne limuzyny członków korpusu dyplomatycznego. Każda limuzyna była zaopatrzona w dwie chorągiewki: jedna była chorągiewką danego państwa, druga biała. Limuzyny jechały powoli, gdyż gruzy zawalonych kamienic, wywrócone słupy i masa drutu nie pozwalały na rozwinięcie jakiejkolwiek szybkości. Pomimo jednak żółwiego kroku, jakim się posuwała ta karawana, przy wylocie ulicy Radzymińskiej powstał potężny zator, gdyż były tam rowy przeciwczołgowe, które kazałem wykopać jeszcze w pierwszych dniach mojego tu pobytu, później zostały one pogłębione i rozszerzone aż do przesady. Między rowami biegło wąskie i kręte przejście dla pieszych. Samochody trzeba było przeciskać między rowami przy pomocy rąk. Żołnierze podjęli się to wykonywać bardzo chętnie, tym bardziej, że z każdego przeciągniętego przez rów samochodu sypał się prawdziwy deszcz papierosów, nie machorkowych lub Cowboy'ów, które paliliśmy od dwu tygodni, lecz wspaniałych zagranicznych marek, konserw, butelek wina, wódki, swetrów, skarpetek, rękawiczek, koszul i t.d. i t.d. Niektórzy żołnierze dostawali termosy, wieczne pióra, turystyczne plecaki, a jeden, pamiętam jak dziś wyfasował zupełnie dobry zegarek.

Przypatrywałem się tym ludziom stojąc tuż koło przejścia. Przepuściłem bodaj około trzech setek samochodów. Kobiety płakały, mężczyźni mieli ponure wyrazy twarzy. Wielu unikało mojego spojrzenia. . . . Jedynie żona sekretarza ambasady amerykańskiej, Polka, wyszła z samochodu i serdecznie szlochając, pożegnała się ze mną. Węgierski poseł wyciągnął z samochodu dłoń i powiedział po polsku:

" Czołem! "

Na samym końcu jechała wspaniała żółta limuzyna ambasadora U.S.A., lecz ambasadora tam nie było. On sam z synem szli obok niej na piechotę i zawzięcie fotografowali na prawo i na lewo. A było co fotografować! Obaj podeszli i także serdecznie pożegnali się, długo w milczeniu ściskając moją dłoń. Ambasador miał w oczach łzy.

Tę limuzynę przenieśliśmy w dwu czy trzech minutach przed upływem trzech godzin. Punktualnie o godzinie 16-ej cztery pociski przeraźliwym gwizdem rozpruły powietrze i cztery fontanny ziemi, kamieni i gruzów wyleciały w górę na 300 do 400 mtr. za nami po obu stronach ulicy, w chwilę potem cztery straszliwe eksplozje wywołały silny ból w bębenkach. Potem ziemia zaczęła znów jęczeć pod głuchymi uderzeniami jak gdyby ciężkich młotów.

Ostatnia limuzyna szybko zniknęła w tumanach kurzu. Pozostało tylko wspomnienie widoku dawno niewidzianych eleganckich pań płaczących, lecz wytwornych, zapachu wykwintnych perfum, który tak się różnił od fetoru w piwnicy na ulicy Księżnej Anny. Poczułem się jeszcze bardziej osamotniony.

Lecz na sentymenty nie było czasu. Nowa potężna salwa czterech pocisków, które wyrżnęły gdzieś zupełnie blisko, a potem okropny długi przeciągły łomot czegoś walącego się, momentalnie wypędził z głowy i zapach perfum i widok wytwornych kobiet. Pobiegłem do dowództwa, które umieściłem na starym miejscu.

Jeszcze przed wieczorem tego samego dnia otrzymałem rozkaz zmienić 1-szy Batalion. Znów poszedłem z dowódcami kompanii i pocztem na odcinek drogą okrężną przez Pragę.

Gdy wyszliśmy z Pragi, byliśmy zupełnie wyczerpani—szliśmy jak pijani, obojętni literalnie na wszystko. Droga była ciężka. Trzeba było przeskakiwać przez rowy odwadniające okoliczne łąki, przełazić pod barykadami lub włazić a następnie wyłazić z głębokich i szerokich rowów przeciwczołgowych. Dowódca plutonu łączności prowadził z sobą patrol telefonistów, zaś adiutant z szefem kancelarii prowadzili po 2-ch łączników z każdej kompanii.

Zaczynał się lekki zmierzch, gdy dotarłem do folwarku Targówek, gdzie mieściło się dowództwo 1-go Batalionu. Była to prawdziwa stracona placówka. Front batalionu tworzył wygięty łuk, skierowany wybrzuszeniem w stronę Niemców, zaś wklęsłość w stronę naszych tyłów. Niemcy otaczali ten łuk z trzech stron, od strony Kawęczyna, od strony osady Kawęczynek oraz od strony byłej osady " Kozia Góra."

Obiektem, który miał utrzymać Batalion był folwark Targówek i kawałek ul. Ks. Anny. Był to mały folwarczek otoczony pięknym niegdyś ogrodem i zagajnikiem, pośrodku którego stał piętrowy budynek właściciela i zabudowania gospodarskie. Wszystko to teraz leżało prawie w gruzach. Drzewa były straszliwie pokaleczone, miały zerwane wierzchołki i połamane gałęzie. Cały ogród zasłany był powalonymi trzonami drzew i konarami. Wszędzie leżało dużo zabitych koni. Jakieś bezpańskie psy zupełnie zdziczałe, na widok ludzi albo zaczynały wyć, albo uciekały w krzaki. Zagajniczek położony tuż przy parku był przepełniony świeżymi mogiłami. W parku także były mogiły ,lecz w mniejszej ilości, wykonane w pośpiechu, zaopatrzone w krzyże z patyków i deszczułki z napisami chemicznym ołówkiem. Widać było, że tu nie było czasu na bawienie się w pogrzeby. Niektóre mogiły były rozwalone. Szczątki ludzi nawet po śmierci nie zaznały spokoju. Twarze upiorów o straszliwych grymasach jak gdyby skarżące się i żądające spokoju, wyglądały z pod świeżej ziemi.

Gdy przechodziliśmy przez zagajnik, ni stąd ni z owąd kilka pocisków, widocznie puszczonych na chybił trafił raptownie eksplodowało tuż przy nas. Trzeba zaznaczyć, że szliśmy dość bezładną kupą i każdy szedł tam, gdzie mu było wygodniej. Było nas 15-20 osób, a że każdy inaczej pojmował tę wygodę, to i szedł inaczej. Toteż " ugrupowanie " nasze zajmowało 50-60 metrów wszerz i około 100 wgłąb. Przypadek chciał, że niemieckie pociski trafiły w środek naszej kupy.

Kilka pocisków padło tuż tuż koło mnie. Ocalałem chyba tylko dlatego, że szedłem głębokim rowem, który przecinał zagajnik. Przyznam się, że rzetelnie zaorałem nosem w ziemię. Wszystko momentalnie prysło. Jeszcze kilka pocisków padło na to samo miejsce. Leżąc, więcej wyczułem, niż widziałem złowrogie czerwone błyski. Deszcz błota i gałęzi posypał się na mnie. Zrobiłem " skok " do parku i dobrze zrobiłem, gdyż w to samo miejsce padło jeszcze kilka serii pocisków.

Jeszcze kilka " skoków " i zupełnie mokry i wyczerpany byłem na parterze budynku, gdzie mieściło się dowództwo I-go batalionu. Wszedłem do podziurawionego i pokaleczonego budynku zupełnie wyczerpany. Po kilku minutach przyszedł adiutant, potem dowódca plutonu łączności i kilku żołnierzy. Obaj byli umazani błotem, gdyż droga do dowództwa wypadła im przez bajorko w zagajniku. Jeszcze kilka minut i zebrali się pozostali żołnierze. Jeden z nich miał lekkie zadraśnięcie, a zdawało się, że przynajmniej połowa będzie nieboszczykami.

W ciągu godziny przybyli dowódcy kompanii. Odcinek przejęliśmy szybko. Niemców, to znaczy ich t.z.w. siłę żywą, lekceważyliśmy, wiedzieliśmy bowiem, że oni z powodu braku czołgów nie są zdolni do jakiegokolwiek wysiłku zaczepnego. 21 dni obrony Warszawy podkreśliło to z całą dobitnością. Moje osobiste spostrzeżenia, jakkolwiek krótkie, całkiem potwierdzały ten pewnik. Niemcy chcieli nas zmusić do kapitulacji tylko ogniem i lotnictwem. To było zupełnie jasne.

W nocy przyszedł mój batalion. I Batalion odszedł i oto rozpoczął się ostatni etap obrony Warszawy. Etap ten dla mnie i mojego oddziału trwał przez długich siedem dni koszmarnych, a szarych w swej beznadziejności. Nawet codzienne słońce i ten błękit nieba były jakieś obce i takie beznadziejne. W ogóle brak nadziei przygnębił nas wszystkich. Czasami tylko jak miraż w pustyni zabłysła słaba nadzieja z natchnienia jakiejś, niewiadomo skąd puszczonej plotki, o treści dla nas radosnej, lecz ta nadzieja także jak miraż szybko znikała, gdy przychodziły rozmaite " sprostowania " lub zwyczajne stwierdzenie, że " wiadomości o tym a o tym nie potwierdziły się."

Natomiast potwierdzały się wiadomości co raz gorsze i gorsze. Pierwszą z nich była wiadomość o zbrojnym wystąpieniu bolszewików. Potem jak jutrzenka zabłysła pogłoska, że Anglicy wysadzili desant i opanowali Gdynię, Gdańsk i Królewiec. Lecz ta wiadomość dwa dni później została zdementowana. Następnie przyszła straszna wiadomość, że poznańska armia gen. Kutrzeby, która miała wspólnie z armią gen. Bortnowskiego z Pomorza dokonać odsieczy Warszawy —owszem tylko przebiła się do Warszawy, zaś armia pomorska do Modlina. Potem znów rozeszła się pogłoska, że bolszewicy biją Niemców.

Wreszcie jednak wszystko zgasło. Sytuacja polityczna stała się jasna w swej strasznej i koszmarnej rzeczywistości. Bolszewicy szli nie jako przyjaciele, lecz wróg. Rząd jest w Rumunii. Armia nasza wycofuje się także do Rumunii i na Węgry. Wszyscy zrozumieli, że pomocy znikąd nie otrzymamy. Głowę świdrował wyjątek z " Konrada Wallenroda ":

" Słońce krwawo znikało
z nim reszta nadziei."

Każdy zrozumiał, że jest to jedynie walka o honor polskiego oręża.

Arnold Jaskowski



Rany Warszawy

* Por. nr. 33 i 34 " Polski Walczącej."

WESTERPLATTE

Obrona Westerplatte weszła już na karty naszej historii i stanowi jeden z największych czynów zespołowego bohaterstwa Żołnierza Polskiego.

Polacy poza granicami poznali już jej niepełną historię z wielu artykułów i publikacji. W nieszczęsnym okupowanym Kraju, legenda o obronie Westerplatte przechodzi z ust do ust słuchana jak Ewangelia, krzepiąc serca i ducha rodaków.

Dziś niestety nie możemy mieć jeszcze dokładnych relacji ze strasznych przeżyć obrońców Westerplatte, bo nieliczna garstka tych, którzy pozostali przy życiu, znajduje się w niewoli. Obraz tej historycznej obrony, jaki dzisiaj znamy, pragnę dopełnić niektórymi własnymi wspomnieniami z okresu przedwojennego, których wiele mnie łączy z tym skrawkiem naszego wybrzeża, obficie przepojonym krwią polską.

Westerplatte — przed objęciem jej przez Polaków była wraz z Brzeźnem i Klotkowem (*Breusen i Klettkau*) podmiejskim kąpieliskiem Gdańska. Częściowo zalesiony wąski półwysep /około 300-400 m. szeroki i 1200 m. długi/ z parkiem, kilku drewnianymi willami i plażą, oddzielony był kanałem Martwej Wisły od miasta i portu, stanowiąc najbliższy i ulubiony cel spacerów Gdańszczan.

Przybycie na Westerplatte polskich żołnierzy i stworzenie na niej składów amunicji, nie zmieniło zasadniczo wyglądu tego miejsca. Składy z amunicją ukryte wśród krzewów parkowych były prawie niewidoczne. Kochający przyrodę żołnierz polski jeszcze więcej kwiatów zasadził. Aleje parkowe czyściej były utrzymane a krzaki bzu i jaśminu teraz dopiero znalazły serdecznych opiekunów.

Długie lata załoga Westerplatte mieściła się w skromnych drewnianych willach. Dopiero na półtora roku przed wojną władze polskie wybudowały koszary, których grube mury i betonowe piwnice świadczyły o celu, jakiemu miały służyć. Poza tym na krańcach parku rozmieszczonych było pięć domków wartowniczych, a cały teren Westerplatte /za wyjątkiem części od morza/ otoczony był dwumetrowej wysokości "parkanem z cegły" grubości pół cegły, nie stanowiąc jednak żadnej obrony a tylko ochronę w czasach pokojowych. W lecie 1939 roku poważnie się nad tym zastanawiano czy go nie usunąć, ponieważ ograniczał pole widzenia, pozwalając nieprzyjacielowi podejść pod sam teren Westerplatte.

Nie była więc Westerplatte żadną twierdzą ani fortecą. Poszanowanie Traktatu Wersalskiego i umów polsko-gdańskich stawialiśmy wyżej od względów strategicznych. Konsekwentna dobra wola Polaków, która zresztą okazała się zgubną, napewno zostanie oceniona przez historię.

Załoga Westerplatte składała się zgodnie z postanowieniami Traktatu Wersalskiego z 88 wojskowych, łącznie z oficerami i podoficerami, do czego dochodził jeszcze personel cywilny w ilości zmiennej od 25-30 osób. Zmiana załogi przeprowadzana była co 6 miesięcy na wiosnę i w jesieni. Na wiosnę 1939 roku przybyła nowa załoga, stara zaś tylko częściowo odeszła. Tak więc w chwili wybuchu wojny mieliśmy na Westerplatte około 200-tu żołnierzy.

Wspólne życie na tym małym obszarze, jeden cel jakiemu służyli, stworzyły z załogi Westerplatte jedną żołnierską rodzinę. Dowódca Westerplatte — major Henryk Sucharski—chłopski syn z Gręboszowa, żołnierz z zamiłowania, był zarazem ojcem i bratem żołnierzy i potrafił w nich tchnąć takiego ducha i taką moc, która im pozwoliła przetrwać godziny straszliwej próby.

W pamiętnych dniach lata 1939 roku, kiedy załoga Westerplatte prawie stale była w pogotowiu, duch jej był znakomity. Pod maską wesołości i radości kryło się na twarzach żołnierzy poważne skupienie. Świadomi swojej roli, zaciskali pięści w oczekiwaniu Wielkiej Rozprawy, która nieuchronnie ich czekała.

Niezapomniane wrażenie z Westerplatte wynieśli popularni "Szczepko" i "Tońko," którzy owiani duchem patriotyzmu przybyli ze Lwowa do Gdyni w czerwcu 1939 r. ze stanowczym postanowieniem dania przedstawienia załodze Westerplatte. Występ ich odbył się wśród nastroju jakiego w życiu nie mieli. Żołnierze zaś, dla których przybycie "Szczepka" i "Tońka" było niespodzianką, szaleli z radości i podniecenia.

Major Sucharski wpadał do Gdyni co raz rzadziej. Ostatni raz widziałem go w połowie sierpnia. Byliśmy na m/s "Piłsudskim," który odchodził do Nowego-Jorku i który już nigdy nie miał zawinąć do swego macierzystego portu—Gdyni. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie odniosłem z tego ostatniego spotkania z mjr. Sucharskim. Nie mogłem się już do niego odnosić jak dawniej. Wyczułem, że coś nas poczęło dzielić. Dziś wiem co to było. To była ta karta historii, wówczas jeszcze biała, którą on swoim bohaterstwem wypełnił, a którą już wtedy mnie zwykłego śmiertelnika od niego oddzielała.

Pędzące jedno za drugim wydarzenie polityczne w drugiej połowie sierpnia a szczególnie zaostrzające się stosunki polsko-gdańskie, upewniły nas, że wojny nie da się uniknąć. Wiedzieliśmy, że pierwsze strzały padną na Westerplatte. Tak się też stało.

W czwartek, 24 sierpnia, przybył do portu gdańskiego potężnie uzbrojony pancernik niemiecki "Schleswig-Holstein." Celem jego przybycia była wizyta jak głosiły oficjalne niemieckie komunikaty. Okręt zakotwiczony został w kanale Martwej Wisły—o kilkaset metrów od Westerplatte. Gdy po terminie zakończenia "wizyty" okręt nie opuścił portu gdańskiego, a zmienił tylko swe położenie, które mu dawało lepszy obstrzał Westerplatte, jasny stał się cel jego wizyty.

W historyczną noc napadu Niemiec na Polskę z 31 sierpnia na 1 września, miałem ostatnią telefoniczną krótką rozmowę z mjr. Sucharskim około 11-ej wieczorem. Następna rozmowa w kilka godzin później nie doszła już do skutku. Połączenia telefoniczne z Gdańskiem zostały w międzyczasie zerwane. A więc zaczęło się. W niedługą chwilę potem usłyszałem z balkonu pierwsze głuche strzały ciężkich dział niemieckiego pancernika, który rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte. "Gość niemiecki" według starych zasad swej taktyki rozpoczął w nocy i z tyłu. Taktyka ta przez Niemców określana jest jako "zaskoczenie".

Potężnemu pancernikowi przyszła jeszcze w sukurs piechota i bombowce. I tak już przez siedem dni i nocy kilkanaście potężnych dział pancernika ostrzeliwuje Westerplatte. Samoloty zrzucają bomby a piechota wspierana czołgami przypuszcza wściekłe ataki od strony lądu. To jeszcze nie wszystko. Z lądu ostrzeliwuje Westerplatte kilka baterii ciężkich dział.

Ogrodzenie z cegły otaczające Westerplatte rozsypuje się po pierwszych salwach, teraz pozostaje tylko mur z piersi żołnierza polskiego. Wejścia na teren Westerplatte broni w pierwszej linii okopany wpoprzek półwyspu pluton pod dowództwem por. Pająka. Dalsze ośrodki oporu stanowią domki wartownicze, w których znajduje się po kilku żołnierzy. Reszta załogi z mjr. Sucharskim i jego zastępcą kpt. Dąbrowskim broni się w koszarach.

Środki bojowe załogi w niczym nie mogły zagrozić pancernikowi niemieckiemu ani przeszkodzić jego niszczycielskiej akcji. Jedno działo 75 mm i karabiny maszynowe nie mogły naruszyć jego pancerza. Zdawał sobie z tego sprawę mjr. Sucharski i ze swej tragicznej bezsiły. W pierwszych dniach obrony wierzył, że pomoc nadejdzie i wyrwie ich z tego piekła. Przyszedł jednak czas, kiedy już nadziei nie było i tylko nadludzkie siły pozwalały im jeszcze trwać i walczyć.

Ciężkie pociski i bomby orzą kwietniki i aleje parkowe. Pękają mury i walą się budynki. Z dymiących gruzów ciągle jednak grzmią karabiny maszynowe, kładąc trupem nacierającą piechotę.

Śmierć co raz nielitościwiej zabiera obrońców Westerplatte. Jak gdyby im chciała oszczędzić tego piekła ognia. Nieustanne ostrzeliwanie uniemożliwia grzebanie zabitych. Gorące dni wrześniowe jeszcze wyolbrzymiają ten problem. Trupy żołnierzy wkłada się do kadzi z gaszonym wapnem znajdujących się w piwnicach koszar. Półobłąkani żołnierze oddają tę makabryczną przysługę swoim najdroższym kolegom.

Tylko piąta część załogi znajduje się jeszcze przy życiu. Żyje —ale ranny—dowódca mjr. Sucharski i kpt. Dąbrowski. Padł trzeci oficer, por. Pająk. Brak już rąk do uprzątania zabitych i opatrywania rannych, bo przecież bronić trzeba się dalej. Ataki niemieckie przybierają na sile.

Okropny taniec śmierci siedmiu dni i nocy zbliża się ku końcowi. Brakuje wody, kończy się amunicja. Tego ostatniego wroga żołnierza nie da się już pokonać.

Na gruzach koszar powiewa biała flaga. Nie staje się jednak zadość zwyczajom wojennym. Flaga białą nie była. Na Westerplatte nie było już wtedy rzeczy nie splamionej krwią żołnierza.

Na gruzach Westerplatte wykwitła dumnie białoczerwona flaga, której czerwień stanowiła krew bohaterskiego Żołnierza Polskiego.

Mieczysław Przeczowski

Wojna na morzu



O.R.P. Grom i O.R.P. Błyskawica w przeddzień podniesienia kotwicy z Redy Oksywskiej

Dnia 30 sierpnia 1941 roku mijają dwa lata od chwili, gdy polskie kontrtorpedowce "Grom," "Błyskawica" i "Burza" odkotwiczyły z Redy Oksywskiej, udając się z rozkazu Kierownictwa Marynarki Wojennej do Anglii. Od tego momentu rozpoczyna się nowa karta w dziejach Polskiej Marynarki Wojennej. Jest to karta pełna trudu i niekończących się, długich miesięcy patrolowań i konwojowań, karta walki, pełnej zaparcia siebie, opartej o bazy obce, zdala od swoich i zdala od własnego kraju. . . . Jest to w dziejach polski "Pierwsza Morska Emigracja Wojenna" i pierwszy wysiłek morski Rzeczypospolitej na oceaniczną skalę. Do tych trzech okrętów dołączyły później inne okręty i te, które z Bałtyku przedarły się na Atlantyk i te, które pomnożyły naszą flotę już w Wielkiej Brytanii.

I stało się, że dzięki tej trafnej decyzji, która była konsekwencją przymierza zawartego przed wojną pomiędzy Polską i Wielką Brytanią, młoda flota wojenna Polski nie tylko walczy niestrudzenie u boku wielkiej floty brytyjskiej, lecz zdobyła sobie zasłużone uznanie u wszystkich marynarzy świata i obok lotnictwa, była bardzo długo i jest dotychczas, jedyną siłą zbrojną walczącą czynnie z wrogiem w tej dziwnej wojnie.

Społeczeństwo w Kraju gorąco chwyta każdą wieść o pracy i czynnach Polskiej Marynarki Wojennej, a społeczeństwo Polonii amerykańskiej odczuwa prawdziwy głód wiadomości o "granatowych chłopcach z Polski," i numery morskie "Polski Walczącej," wszystkie artykuły, czy felietony na temat Marynarki Wojennej, czy wydarzeń na morzu były przedrukowywane kilkakrotnie w prasie polskiej w Północnej i Południowej Ameryce. Nie we wszystkich, niestety, republikach Południowej Ameryki Polacy mogą się wypowiadać swobodnie. Oto wyjątek z listu syna do ojca, pisanego z jednej z największych Rzeczypospolitych Ameryki Południowej:

". . . lecz w Argentynie i w Urugwaju jest inaczej. Tu zaś wpływy niemieckie są bez porównania silniejsze i bardziej widoczne, a dla nas często trudne do zniesienia. Od czasu do czasu jedynie dociera do nas prasa angielska lub północno-amerykańska. Rzadziej możemy czytywać własne pisma. Gdy otrzymałem przez pana Pawła parę numerów "Polski Walczącej," nie tylko sam czytałem kilkakrotnie każde zdanie, lecz poszły te numery "w kurs" i ludzie rozprawiają o każdym artykule z niesłabnącym zainteresowaniem, choć niektóre dotyczą już wydarzeń dawno przebrzmiałych. Ze specjalnym zaciekawieniem /a młodzież robi to z entuzjazmem/ czytywane są stronnice z opisami i wiadomościami o polskim lotnictwie i o Polskiej Marynarce Wojennej. To są dopiero ludzie! . . . Jest nas paru szesnastolatków Polaków w tym gimnazjum. Od ilu lat przyjmują do Marynarki? . . . Tatuś pisze, abym się uczył, bo mam lat dopiero szesnaście /skończę w czerwcu!/, ale przecież Tatuś też uciekł z domu do Legionów w r. 1915, kiedy Tatuś miał lat . . . szesnaście."

Droga, zapalczywa, zacna, polska krew tego pokolenia "co nadejdzie." Wierzę, że oni najważniejszych zagadnień nie będą "przegapiali," a morze i walka na morzu /dla ochrony i obrony tego morza/ nie będą dla nich . . . egzotyką.

* * *

Podczas walk we wrześniu 1939 r. spełniły swój obowiązek do ostatka okręty polskie pozostawione dla obrony wybrzeża. Po zadaniu wrogowi bardzo ciężkich strat, zatopiwszy dwa kontrtorpedowce niemieckie i strąciwszy z górą 60 samolotów nieprzyjacielskich, przeprowadziwszy szereg przez swą wówczas beznadziejność pięknych operacji zginęły: O.R.P. "Wicher," O.R.P. "Gryf," O.R.P. "Mazur," kanonierki i trawlery. Działanie ich jednak, ich walki i nieskazitelna dzielność stworzyły podwaliny pod Dobrą Sławę i Wielkie Imię obecnej Polskiej Marynarki Wojennej, utorowały drogę dalszym czynom innych okrętów polskich.

Działanie i przejście przez cieśniny Sundzkie okrętu podwodnego "Wilk" pod dowództwem ś.p. bohaterskiego dowódcy komandora Krawczyka, ucieczka z Tallina, przejście przez cieśniny i późniejsze walki w Skagerraku i na wodach Morza Północnego /zatopienie niemieckiego transportowca z wojskiem "Rio de Janeiro"/ wspaniałego okrętu podwodnego "Orzeł" /pod dowództwem ś.p. kpt. mar. Grudzińskiego/, walki kontrtorpedowców "Grom," "Błyskawica" i "Burza" przy brzegach Norwegii, śmierć "Groma" w fiordzie Narwiku, walki pod Calais i pod Dunkierką /Za jedną jedyną akcję pod Calais i Dunkierką zostaje odznaczonych krzyżem "Virtuti Militari": 1 chorąży marynarki; a Krzyżem Walecznych: —6 oficerów i 7 podoficerów i marynarzy/ —to jedynie fragmenty długiej, dwuletniej działalności wojennej naszej Floty.

Londyński tygodnik ilustrowany "Picture Post" napisał: "Jednym z najbardziej zachęcających i pobudzających widoków wojny morskiej daje nam młoda, mała, ale niezmiernie czynna marynarka wojenna polska. . . . Oficerowie i marynarze polscy są najbardziej czujni i gotowi do akcji, niezależnie od tego, jak bardzo wyczerpujący był patrol, z którego wrócili, niezależnie od tego, jak surowa była pogoda, którą mieli w dniach poprzednich."

* * *

Nie o wszystkich czynach marynarki wojennej polskiej można już teraz pisać i nie wszystkie fakty, często niezwykle emocjonujące i ciekawe, a zawsze chlubne i piękne, można podawać do wiadomości publicznej. Jest to zrozumiałe: walka jest w toku, okręty są w działaniu, a niektóre fakty z przeszłości, podane do wiadomości publicznej, mogłyby być pomocne dla wroga. To też w konsekwencji wiele chlubnych i ciekawych kart naszej marynarki jest zupełnie nieznanych t.zw. "szerokiej publiczności," a nawet ludziom bliżej stojącym spraw morskich.

Niektóre okręty R.P. są wyraźnie "pokrzywdzone," a niektórych sława urosła, chociaż zasłużenie, lecz o tyle "niesprawiedliwie," że inne okręty dokonały podobnych czynów, jeśli nie większych i znaczniejszych, to nie mniej wybitnych. Trudno powiedzieć o aktualnych działaniach i trudno sądzić dla czego władze morskie wybrały właśnie te, a nie inne fakty, jako nadające się do ogłoszenia publicznie. Jest to sprawa tych, którzy kierują działaniami na morzu i będzie ich sprawą wyłącznie dopóty—dopóki te działania na morzu trwają.

Można jednak już dziś stwierdzić i przez to stwierdzenie oddać niejako sprawiedliwość innym naszym okrętom, tym "mniej sławnym," a często nawet w ogóle nie wymienianym, że ich służba jest nie miej owocna i ofiarna niż "okrętów sławnych," że ich czyny i ciężka praca z czasem staną się pomnożeniem dalszym kart naszego udziału, sławy i chluby na morzu. Okręt podwodny "Orzeł," którego załoga "nie powróciła do bazy" zasłużył sobie rzetelnie na swoją sławę. "Orzeł" nie powrócі. Dlatego pisało się i pisze o nim bez porównania więcej i obszerniej, niż o "Wilku," który zasłużył sobie na nie mniejszą sławę i pierwszy "utorował" drogę z Bałtyku, a jego działalność bojowa ma karty nie mniej piękne, niż jego bohaterskiego towarzysza i t.p., i t.p. Takich przykładów możnaby podać wiele, znacznie więcej niżby się wydawało.

Nie o to jednak chodzi, jak nie chodzi o to, aby w krótkiej "Wojnie na morzu" zmieścić całą historię Marynarki Wojennej Polskiej, lub wymieniać wszystkie polskie okręty wojenne. Chodzi o stwierdzenie raz jeszcze wobec wszystkich Polaków Polonii Zamorskiej, tej rozproszonej w wielu krajach "Emigracji Walczącej" i Polonii trwającej na posterunkach w kraju, że w drugą rocznicę podniesienia kotwicy z Redy Oksywskiej przez zaledwie trzy polskie kontrtorpedowce — Imię Polski na Morzu trwa, jest nie mniej żywe, niż przedtem, jest WZMOCNIONE i UWIELOKROTNIONE. Dzięki walkom Marynarki Wojennej, a pracy Marynarki Handlowej podczas wojny, powinno pozostać na morzach jeszcze silniejsze, jeszcze potężniejsze, niż dotychczas.

Krew i praca stworzyły podwaliny, niechże MIŁOŚĆ I ROZUM narodu tego nie zmarnują.

Bohdan Pawłowicz



Na Redzie Oksywskiej (O.R.P. Grom i O.R.P. Błyskawica)

Rzut oka na kampanię sowiecką

Z górą dwa miesiące gigantycznych zmagań Reichswehry z armią czerwoną, której postawa i opór zaskoczyły cały świat a przede wszystkim niemiecki Sztab Generalny—pozwalają już na naszkicowanie w ogólnych zarysach obrazu sytuacji operacyjnej i jej rozwoju. Obraz ten nabiera większego bogactwa kolorów i półtonów, jeżeli będziemy go rozpatrywać nie tylko pod kątem widzenia operacji wojennych, ale też na tle polityki światowej. Nie możemy bowiem zapominać, że w wojnie totalnej, posunięcia w polityce zagranicznej są ściśle uzgadniane z decyzjami natury operacyjnej, mając ten sam cel—ostateczne zwycięstwo.

KAMPANIA SOWIECKA I KAMPANIE POPRZEDNIE

Niewątpliwie, kampania sowiecka rozpoczęła się dla Niemców—pomimo, że armia sowiecka nie zakończyła swojej mobilizacji—w o wiele gorszych warunkach, aniżeli kampania we Francji, aniżeli szczególnie kampania w Polsce.

W kampanii polskiej, Niemcy, pomijając już olbrzymią przewagę materialną oraz nową doktrynę walki, która zaskoczyła, niestety, polskie Naczelne Dowództwo, mieli jeszcze decydującą przewagę w samej sytuacji wyjściowej. Zapewniała im ona głębokie oskrzydlenie całej armii polskiej i tak ulubione przez teoretyków niemieckich działanie po liniach zewnętrznych.

Wedle zdania jednego z wybitniejszych teoretyków niemieckich ostatniej doby, gen. Erfurtha—który latem 1939 na łamach "*Militärwissenschaftliche Rundschau*" w cyklu artykułów o "Działaniach kombinowanych samodzielnych grup armii," omawiał przyszły plan kampanii w Polsce—działania po liniach zewnętrznych są kwintesencją nowoczesnej doktryny—doktryny, która opiera się na jednym z klasycznych wzorów, jakim prócz Kann jest dla Niemców bitwa pod Lipskiem.

Rozpoczynając kampanię na Zachodzie, Niemcy nie mieli, teoretycznie biorąc, tej niezmiernie korzystnej sytuacji wyjściowej jak przed kampanią polską. Jednak przez przełamanie frontu i rzucenie w luki wielkich zagonów pancernych, jak np. zagon pancerny gen. Reichenau do wybrzeża La Manche albo armii gen. Rundstedta w kierunku na Dijon—wytworzyli oni już w pierwszych dniach tej kampanii dogodne warunki dla oskrzydlenia przeciwnika.

Ugrupowanie wyjściowe obu stron na froncie rosyjskim przed 22 czerwca nie dawało Niemcom specjalnych korzyści, jak np. w kampanii polskiej. Ponadto mieli oni przed sobą armię o mobilizacji wprawdzie nieukończonej, ale liczebnie im równej i o ogromnych rezerwach ludzkich i materialnych. Również nowoczesna doktryna i struktura organizacyjna armii, wynikająca ze zrozumienia nowych form walki czyniła z niej groźnego przeciwnika. Wszystko to stawiało niemiecki *Blitzkrieg* pod znakiem zapytania. Ten stan rzeczy zapewne rozumieli fachowcy niemieccy, którzy zdają sobie też sprawę, że pierwszym warunkiem powodzenia *Blitzkriegu* jest duża rozpiętość w sile i metodach działania obu stron..

Tezę tę potwierdza przebieg działań od ich samego początku. Bolszewicy przygotowani zarówno pod względem doktrynalnym jak i obeznani z doświadczeniami dotychczasowych kampanii niemieckich—nie byli zaskoczeni *Blitzkriegiem*. Zastosowali najbardziej słuszną metodę walki, polegającą na zwalczaniu osobno niemieckiej broni pancernej, wyprzedzającej własną piechotę i osobno piechoty pozbawionej już taranu pancernego.

W imię bezstronności należy dodać, że gen. Weygand przed rozpoczęciem bitwy o Francję w instrukcjach nakazywał też podobne sposoby walki. Niestety, morale żołnierza francuskiego nie wytrzymywało obecności na swoich tyłach buszujących niemieckich oddziałków pancernych.

Odporność żołnierza sowieckiego okazała się jednak o wiele silniejsza. Przez całe tygodnie trwała i trwa dotąd jeszcze na tyłach niemieckich formacji pancernych walka piechoty. Właśnie w tej walce piechoty, której nie było wcale na froncie zachodnim, armia niemiecka ponosi największe straty. Również i sprzęt sowiecki, szczególnie sprzęt pancerny okazał się dużo lepszy, aniżeli to przewidywał sztab niemiecki.

PIERWSZA FAZA KAMPANII

Po tych rozważaniach natury ogólnej, opartych na niezmiernie skąpych informacjach z terenu walki, można przystąpić do naszkicowania w paru rzutach dotychczasowego przebiegu kampanii. Dadzą się w nim wyróżnić trzy fazy, raczej trzy kolejno zorganizowane wielkie ofensywy niemieckie.

Pierwsza faza rozpoczęła się uderzeniem na całym froncie oraz działaniem lotnictwa niemieckiego na wielką skalę na lotniska i komunikacje sowieckie. Wprawdzie kampania rozpoczyna się wedle klasycznych wzorów *Blitzkriegu* a więc bez wypowiedzenia wojny i rzuceniem zmasowanej *Luftwaffe*, aby zapewnić sobie przewagę w powietrzu, jednak już po paru dniach widać, że w danym wypadku przełamanie frontu sowieckiego przez niemieckie dywizje pancerne nie wywołało żadnej paniki na tyłach jak we Francji ani też zmusiło całych odcinków frontu, jak w Polsce do odwrotu. Już po paru dniach działań zarysowują się wyraźnie następujące kierunki uderzenia: trzy kierunki główne i dwa pomocnicze.

Kierunki główne: 1/ na Leningrad—przez Litwę i państwa bałtyckie; uderzenie to prowadzone przez generała v. Leeba jest południowym ramieniem manewru kleszczowego na Leningrad, którego ramię północne stanowi armia fińska pod dowództwem marszałka Mannerheima;

2/ kierunek na Moskwę, prowadzący przez Białystok—Brześć—Mińsk; w czasie działań pierwszej fazy na tym kierunku, grupa armii gen. v. Bocka odnosi wielkie zwycięstwo nad armią sowiecką w rejonie Białegostoku, otaczając i biorąc do niewoli, wedle danych niemieckich, większą ilość jeńców;

3/ kierunek na Kijów przez Łuck—Równe—Nowogród Wołyński; w czasie walk na tym kierunku, jak można wnioskować bodaj najbardziej zaciętych, armie marszałka Rundstedta, napotykają na szczególnie twardy opór w rejonie Łucka, gdzie dochodzi do trwającej parę dni wielkiej bitwy formacji pancernych, prowadzonej ze zmiennym powodzeniem i dużymi stratami.

Działania wojenne w pierwszej fazie na tych trzech kierunkach rozgrywają się głównie na terytorium Polski, zajętym jesienią 1939 przez Sowiety—w ten sposób terytorium to stanowi dla armii czerwonej pewnego rodzaju wielkie przedpole, na którym załamał się pierwszy impet ofensywy niemieckiej, przed dojściem do właściwej linii obronnej Stalina.

W danej chwili trudno jest jeszcze ustalić, nie mając żadnych danych, czy kierunki działań na Kijów i Moskwę, przedzielonych Błotami Pińskimi posiadały charakter działań zupełnie samodzielnych i mających pewne cele polityczne — utworzenie nowych rządów w opanowanych stolicach—czy też stanowią one dwa ramiona wielkiego manewru kleszczowego, które miały się zejść gdzieś daleko na wschodzie podobnie, jak dwa niemieckie ramiona oskrzydlające spotkały się pod Włodawą w kampanii polskiej. Nie mniej ważny jest kierunek na Leningrad, który w razie powodzenia zapewnia, prócz opanowania wielkich zakładów przemysłowych, zniszczenie całej floty bałtyckiej. Kierunek na Moskwę, w razie sukcesu, ma przede wszystkim efekt polityczno-propagandowy, z punktu widzenia wojskowego zapewnia całkowite rozerwanie frontu sowieckiego.

W każdym razie, Niemcy w wyniku parę tygodni trwających walk nie uzyskali zbyt wielkich sukcesów, osiągając jedynie na kierunku Leningradu granicę estońsko-sowiecką; na kierunku Moskwy—rejon Mińska i na kierunku kijowskim—rejon Nowogrodu Wołyńskiego.

W tej fazie mają też miejsce dwa uderzenia pomocnicze. Jedno na skrajnej północy, prowadzone przez oddziały alpejskie i fińskie na Murmańsk—nie osiągnęło żadnych większych sukcesów. Drugie na skrzydle południowym, na Bessarabię, prowadzone przez wojska rumuńskie pod osobistym dowództwem gen. Antonescu—utknęło na skutek ogromnych strat na Prucie.

W końcowych dniach tej fazy, trwającej około dwuch tygodni, następuje rozdział całości frontu sowieckiego na trzy odcinki: dowództwo odcinka północnego objął marszałek Woroszyłow; odcinka środkowego—marszałek Timoszenko, dotychczasowy wódz naczelny oraz odcinka południowego—marszałek Budienny, znany nam dobrze z wojny 1920 roku.

DRUGA FAZA KAMPANII

Faza druga rozpoczyna się w pierwszych dniach lipca walką o przełamanie linii Stalina, przebiegającej na terytorium sowieckiej Białej Rusi i Ukrainy. Na kierunku północnym walki odbywają się nie tylko na lądzie, ale i na morzu. Flota sowiecka i lotnictwo likwidują niemieckie próby desantów. Na lądzie Niemcy dochodzą do rzeki Ługi. Północne ramię tego kierunku bez większego powodzenia walczy na zachód od jeziora Ładoga i w rejonie Kexholmu.

Jednocześnie, pomimo wysiłków niemieckich Tallin, a raczej jego gruzy pozostają w rękach sowieckich, odgrywając w ten sposób na tym odcinku rolę Tobruku. Również flota sowiecka współdziała w zdobyciu wysp Osel i Dagow w Zatoce Ryskiej. Opanowanie tych wysp, biorąc pod uwagę posiadanie przez bolszewików bazy w Hangoë, czynią ewentualną operację morską na Kronstadt przedsięwzięciem bardzo trudnym.

Na kierunku środkowym armie generała v. Bocka muszą raz po raz odpierać przeciwnatarcia zmobilizowanych oddziałów marszałka Timoszenki. Dochodzi do zaciętych walk w rejonie Połocka, Witebska i Smoleńska. Jedno z przeciwuderzeń sowieckich w rejonie Rochaczewa dotarło aż pod bramy Bobrujska.

Nie jest też wiele lepiej na kierunku kijowskim, gdzie dopiero po bardzo ciężkich walkach Niemcy zdobywają Nowogród Wołyński i usiłują oskrzydlić Kijów przez Korosteń od północy i Białą Cerkiew od południa. W tym okresie dochodzi do zaciętych walk w rejonie Żytomierza.

Na skrajnej północy, akcja na Murmańsk nie daje żadnych większych wyników. Natomiast na południu, wojska rumuńskie poważnie wzmocnione przez Niemców opanowywują Bessarabię, dochodząc do Dniestru. W walkach na tym odcinku, po stronie sowieckiej szczególnie czynne jest lotnictwo, które niszczy całkowicie porty w Constanzy i Gałaczu—przyszłe bazy morskie dla ewentualnych operacji desantowych—oraz wyrządza ogromne szkody kopalniom nafty i rafineriom w Ploesti.

TRZECIA FAZA KAMPANII

W pierszych dniach sierpnia, po parodniowych przegrupowaniach i przerwie, rozpoczyna się trzecia faza. W czasie tej fazy, która trwa jeszcze w chwili pisania tego artykułu, na odcinkach północnym i środkowym Niemcy osiągają sukcesy raczej lokalne. Natomiast na odcinku południowym, sukces przez nich osiągnięty stanowi pewien kryzys w kampanii, którego rozmiarów i następstw niepodobna jeszcze ustalić ze względu na trwanie operacji.

Na kierunku Leningradu, Finnowie w wyniku ciężkich walk osiągają Sortawalę; lewe skrzydło gen. Leeba, pod dowództwem znanego nam z kampanii wrześniowej, gen. Kühlera zdobywa Kingissep /dawniej Jamburg/; prawe skrzydło osiąga rejon Nowgorodu, wyrzucając rozpoznanie na wschód.

W związku z tą akcją, powstaje pytanie, czy Woroszyłow, który wydał płomienną odezwę do ludności, nawołującą do obrony Leningradu, pozwoli otoczyć się od morza i lądu, umożliwiając reszcie sił niemieckich swobodny ruch na wschód czy też pozostawi część sił w rejonie Leningradu, wiążąc siły niemieckie, sam zaś będzie manewrować odwrotowo. Na kierunku Moskwy, po pewnym zastoju operacji w rejonie Smoleńska Niemcy osiągnęli poważny sukces przez zdobycie Homla i sforsowanie Dniepru w tym rejonie. Konsekwencje tego sukcesu mogą być niezmiernie groźne, gdyż wytwarza on niebezpieczeństwo zarówno dla rejonu Smoleńska, jak i dla odosobnionej grupy sowieckiej, walczącej w trójkącie Kijowa.

A więc na kierunku Leningradu, Niemcy dochodzą do Solcy i Staraja Russa, zagrażając w ten sposób, w razie dalszych sukcesów, linii kolejowej Moskwa-Leningrad. Na odcinku środkowym, po opuszczeniu przez wojska sowieckie ruin Smoleńska, Niemcy na razie powstrzymują się od dalszych działań ofensywnych.

Natomiast o wiele poważniej przedstawia się sytuacja na odcinku południowym. O ile na samym kierunku kijowskim trwają nadal walki w rejonie Korostenia i Białej Cerkwi, uniemożliwiając w ten sposób przeskrzydlenie Kijowa, o tyle dalej na południu w rejonie Humania, wojska niemieckie miały odnieść większe zwycięstwo nad oddziałami Budiennego, zadać im, rzekomo większe straty i zmusić do odwrotu na całym odcinku frontu południowego—za wyjątkiem kierunku kijowskiego.

Jak można jednak wnioskować z tonu komunikatów niemieckich, sukces niemiecki, który daje im wielką połać Zachodniej Ukrainy bynajmniej nie jest jeszcze równoznaczny z klęską Budiennego, którego armie wycofują się w ogniu walk odwrotowych, naciskane przez formacje pancerne generałów Guderiana i v. Hotha. Te właśnie formacje pancerne dotarły do Morza Czarnego w rejonie Odessy i Mikołajowa, otaczając te miasta.

Nie są znane rozmiary strat Budiennego w ludziach i materiale. Z wiadomości o silnych walkach w rejonie Kriwoj Rog, który leży na rzece Ingulec, można wnioskować, że jego tylne straże usiłują powstrzymać napór niemiecki i zapewnić najlepsze warunki wojskom Budiennego do przekroczenia Dniepru i zorganizowania obrony. W razie zorganizowania silnej obrony Dniepru oraz wobec faktu trzymania się wojsk czerwonych w trójkącie Kijowa, może wytworzyć się dla obu stron sytuacja drażliwa—

CO DALEJ?

Marszałek Rundstedt może zrezygnować na razie z akcji na Budiennego i zwrócić się całą siłą w kierunku północno-wschodnim, na Moskwę, uzgadniając swoje uderzenie ze wznowionym wysiłkiem v. Bocka na kierunku Smoleńsk-Moskwa. Z drugiej strony, lewe skrzydło Rundstaedta podstawione jest pod ewentualne uderzenie kontrofensywy marszałka Timoszenki oczywiście, o ile Timoszenko lub też bezpośrednio Stalin ma w swojej dyspozycji większą ilość swieżych i ruchliwych odwodów, które mogłyby być rzucone na wiszące w powietrzu lewe skrzydło Rundstedta.

W tym wypadku—ewentualnej bitwy nad Dnieprem—działania mogą się rozwinąć wedle klasycznych wzorów trzech wielkich w naszych czasach bitew nad rzekami: bitwy nad Marną 1914, nad Wisłą 1920 i Sakkarią w 1922 /wielkie zwycięstwo Kemala nad armią grecką nad rz. Sakkarią/. A w każdym razie w obu tych możliwościach, szczególnego znaczenia nabiera rejon Kijowa, jako *pivot* (oś) manewru dla obu stron.

ZNACZENIE ATAKU NA POŁUDNIE

Nie wdając się w daleko idące przewidywania należy zastanowić się nad motywami przeniesienia głównego wysiłku niemieckiego na odcinek południowy. Operując oczywiście przypuszczeniami można przyjąć, że w grę tu weszły nie tylko momenty natury czysto wojskowej. Marszałek Keitel, niewątpliwie z każdym dniem przedłużającej się kampanii z co raz większym zakłopotaniem rzuca okiem na kalendarz, zdaje sobie sprawę, że ma najwyżej 6-8 tygodni dogodnych do prowadzenia operacji na południu, a jeszcze mniej na północy. Wprawdzie rozmokłe drogi i błotnisty teren, co raz bardziej dają się we znaki oddziałom pancernym—nie zdołały one jednak powstrzymać ich ruchu—natomiast o wiele groźniejszym wrogiem broni pancernej może być zima, która będzie najpotężniejszym sprzymierzeńcem Stalina.

Prócz tych momentów—natury wojskowej—które zapewne wpłynęły na decyzję operacyjną, należy przypuścić, że sztab niemiecki dąży za wszelką cenę do uzyskania widocznego sukcesu. Jest on potrzebny na użytek wewnętrzny dla narodu niemieckiego a jeszcze więcej—dla celów propagandowych na zewnątrz. Już nawet zdobycie Odesy może być rozdmuchane przez propagandę niemiecką jako wielki sukces operacyjny.

Sukces ten potrzebny jest też dla osłabienia morale przyszłych ofiar napaści niemieckiej—ostatnia wspólna gwarancja sowiecka i brytyjska udzielona Turcji wskazują wyraźnie, kto może być tą najświeższą ofiarą. Potwierdza to też koncentracja wojsk niemieckich i bułgarskich na granicy Turcji i obecność marszałka Lista na Bałkanach. Być może, atak przeciw Turcji będzie odpowiedzią niemiecką na wspólną akcję brytyjsko-rosyjską w zaprzedanym Niemcom Iranie.

Jeżeli idzie o znaczenie sukcesu na Ukrainie na użytek zewnętrzny, to przede wszystkim chodzi też i o Japonię, której wystąpienie przeciwko Rosji staje się dla Niemiec co raz bardziej palącą koniecznością. Może ono zamknąć zapowiedziany dopływ materiału wojennego z Ameryki, pozostawiając jedynie drogę powietrzną przez Alaskę i Kamczatkę.

Wedle opinii licznych komentatorów politycznych, wystąpienie Japonii, która koncentruje swoje siły zarówno na granicy z Sjamem, jak i na granicy z Rosją, skieruje się raczej przeciwko Rosji. Przypuszczenie swoje opierają oni też między innymi i na ostatniej rozmowie Roosevelt-Churchill, która niewątpliwie, poza "ośmioma punktami," ustaliła odpowiednie klauzule wojskowe na wypadek wystąpienia Japonii.

Trwające jeszcze działania na Ukrainie, śledzone są z baczną uwagą we wszystkich stolicach świata. Działania te nie są jeszcze zakończone jak i cała kampania daleka jest od końca.

Eugeniusz Hinterhoff

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

Za czas od 11-20 sierpnia 1941 r..

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 22; uszkodzonych — 4; prawdopodobnych — 5	Ilość wypraw: 19	Łączna ilość samolotów: 47
	Główne cele: Hannover, Boulogne, Kolonia, Rotterdam, Duisburg, Essen, Dunkierka.	

Razem od czasu przybycia do Anglii do 20.VIII.41r.

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:	Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych — 345; prawdopodobnych — 93; uszkodzonych — 38; razem 476	213	990

Przegląd polityczny

Oficjalne źródła sowieckie określają wysokość strat niemieckich na dwa miliony zabitych, rannych i jeńców. Poza tym, według tych samych obliczeń, Niemcy mieli utracić 7.500 samolotów, 8.000 czołgów i 10.000 dział. Jeżeli nawet uznalibyśmy te cyfry za przesadzone, to jednak nie ulega wątpliwości, że straty niemieckie są potworne. Hitler uderza na całym ogromnym froncie, od Leningradu aż po Odessę, starając się za wszelką cenę wywalczyć rozstrzygnięcie w przeciągu jak najkrótszego czasu.

Gra, którą podjęli Niemcy, jest olbrzymiej doniosłości. Jeśli Führerowi uda się powalić Rosję, to wówczas zapanuje dosłownie nad całą Europą i zagrozi całej Azji. Wraz ze swym sprzymierzeńcem japońskim, będzie kontrolował ziemie i państwa od Zatoki Biskajskiej aż po cieśninę Beringa. Będzie mógł atakować zarówno Indie jak i Persję, Irak, Egipt. Dostanie w swe ręce największe na świecie złoża naftowe na Wyspach Sundajskich i w Iraku. Potęga Niemiec będzie teoretycznie nie do pokonania, gdyż nad Donem, na Kaukazie i Syberii znajdzie niezbędne do bardzo nawet długiego prowadzenia wojny surowce. *Ludy środkowo-europejskie zostaną skazane albo na zagładę albo na przerzucenie za Ural.* Za pomocą różnych Quislingów i wojsk żółtych, będzie trzymał Hitler w ryzach terroru zarówno Rosję europejską jak i Azję. Rozgrywka z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, będzie wówczas bardzo ułatwiona, jeżeli w ogóle państwa te zaryzykują dalszą wojnę. . . .

Takie hasła głosi propaganda niemiecka i Führer stara się je urzeczywistnić, rzucając miliony ludzi na front wschodni. . . *Wie on, że czas będzie jego sprzymierzeńcem jedynie w tym wypadku, jeżeli w przeciągu kilku najbliższych tygodni zdoła całkowicie zniszczyć armię rosyjską.* Jeżeli plan ten zawiedzie—*wojska niemieckie czeka nieuchronna klęska.* Deszcze jesienne uniemożliwią dalszy pochód. Olbrzymie rezerwy ludzkie Rosji pozwolą jej na trzymanie nawet fantastycznie rozciągniętego frontu, gdy tymczasem Hitlerowi rezerw tych zacznie brakować. Poza tym, na tych olbrzymich przestrzeniach rosyjskich, mogą zacząć grać co raz to poważniejszą rolę, te czynniki, które dotychczas nie zostały jeszcze wprowadzone do akcji: wielkie odwody kawalerii, jaką posiada w rezerwie Timoszenko, a jaką zupełnie nie rozporządza Hitler. Gdy z takich lub innych przyczyn zatrzymuje się motor—na pole bitwy wchodzi automatycznie koń. Kawaleria nie mogła odegrać żadnej roli w Polsce i we Francji, gdyż na małej stosunkowo przestrzeni panował niepodzielnie czołg. Inaczej może być w Rosji, gdy zaopatrzenie w paliwo dywizji zmotoryzowanych, będzie wymagało pokonania przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów a mróz zacznie trzebić szeregi wojsk, przyzwyczajonych do wygodnych leży zimowych w błyskawicznie zajmowanych krajach Europy.

O powodzeniu lub klęsce Hitlera decydują już dnie. Okres dziewięciu tygodni, w ciągu których miano pokonać Rosję—minął bez rozstrzygających zwycięstw. Jeżeli do 15 września nie zdołają Niemcy zająć Leningradu oraz przemysłowych rejonów Moskwy i Zagłębia Donieckiego—karta wojny błyskawicznej może odwrócić się w sposób wybitnie niebezpieczny. Hitler jest człowiekiem jednej karty: dlatego gra "*va banque.*" Albo panowanie nad światem albo katastrofa, wobec której klęska w 1918 roku byłaby epizodem bez znaczenia. I w tych dniach rozstrzygają się, w bardzo poważnym stopniu, losy świata. *Führer wie, że musi, nie licząc się z największymi nawet stratami iść na przód, Rosjanie wiedzą, że muszą za wszelką cenę ten pochód zatrzymać.* I obie strony ponoszą niebywałe ofiary: Niemcy znaczą drogę setkami tysięcy trupów, Rosjanie niszczą największe w Europie tamy wodne: na rozkaz Stalina wysadził Budienny Dnieprostroj, a Woroszyłow zamienia Leningrad w jedną wielką barykadę, licząc się z całkowitym zniszczeniem miasta. . . .

Depesze z Ankary donoszą, iż 250.000 wojsk niemieckich zostało zmasowanych na granicy bułgarsko-tureckiej. Jednocześnie wzmaga się agitacja "turystów" berlińskich w Persji. Nie jest bynajmniej wykluczone, że Hitler, w razie posunięcia się swych armii południowych w stronę Donu zaryzykuje uderzenie na Kaukaz poprzez Turcję. Byłoby to przedsięwzięcie nad zwyczaj ciężkie, jeżeli się weźmie pod uwagę trudności terenowe i armię turecko-angielską. Ale, jak wspomnieliśmy, Hitler znalazł się w położeniu trudnym i dlatego możliwe są wszelkie, nawet najbardziej ryzykowne posunięcia niemieckie.

Przedłużanie kampanii rosyjskiej grozi Niemcom poważnymi komplikacjami w okupowanych częściach kontynentu europejskiego. W Paryżu i w ogóle we Francji trzeba było aresztować blisko 50.000 osób, co jest cyfrą rekordową, nawet na stosunki nazistowskie. A z Włoch nadchodzą wieści co raz gorsze. Amerykańscy korespondenci dzienników londyńskich donoszą, że Niemcy muszą całymi dywizjami wzmacniać policję faszystowską, która jest z każdym dniem co raz mniej pewna. Sobotaże w przemyśle wojennym i na wielkich szlakach kolejowych są na porządku dziennym. Co więcej. Nie bardzo można ufać nawet i armii włoskiej usposobionej co raz gorzej do reżimu i przedłużającej się wojny. Te 150.000 "elity," wysłanej na front rosyjski, fotografowanej, filmowanej i reklamowanej na cały świat—jeszcze nie wyszło do akcji.

Słowem, w krajach łacińskich, wydanych przez ich własną piątą kolumnę Niemcom szerzy się podziemny ferment, jeżeli nie rewolucji, to w każdym razie biernego oporu. Instynkt starych narodów łacińskich cofa się z drogi, na której końcu przeczuwa zgubę. Hitler ma zamiar zainscenizować nowy, uroczysty zjazd z Mussolinim, mający być odpowiedzią na konferencję Churchilla z Rooseveltem, ale te wszystkie uroczystości totalne na Brennerze mało już kogo wzruszają.

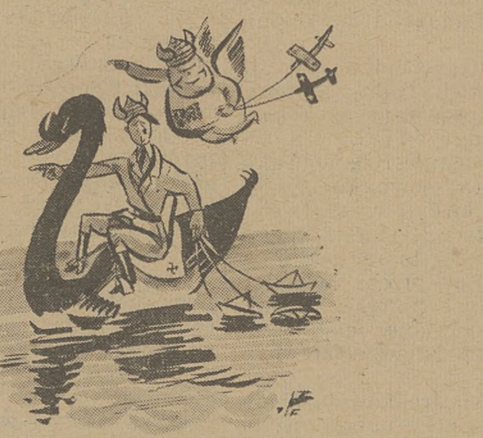
Tak samo nie są bynajmniej zachwycające nastroje w Rumunii. Gestapo wyłapuje tajne odezwy—podobno autorstwa gen. Antonescu, stwierdzające, że Rumunia powinna jak najszybciej wycofać się z tej awantury, w jaką popchnęła ją Żelazna Gwardia i Hitler. W razie przeciwnym, czeka ją zarówno w razie zwycięstwa Niemiec, jak i klęski Rzeszy—straszna katastrofa i całkowita utrata niepodległości. *Słowem: pierwsze większe niepowodzenie, a cały, z tak ogromnym trudem montowany "nowy porządek nazistowski"—może zawalić się na kontynencie.*

Na Dalekim Wschodzie bez szczególnych zmian. Japonia protestuje przeciwko transportom amerykańskim do Władywostoku, twierdząc, że wzmacniają one armię sowiecką Blüchera i w ten sposób "naruszają japońsko-rosyjski pakt o nieagresji." Bardzo dziwny argument, podobnie jak dziwna jest cała polityka rządu w Tokio. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w razie klęski rosyjskiej Japonia uderzyłaby natychmiast na Kraj Nadamurski z jednej a na Siam i półwysep malajski z drugiej strony. Na razie jednak rząd Mikada zachowuje neutralność pojętą w taki sposób, że wszelkimi siłami stara się pomóc Niemcom, szachując i Singapore i Wyspy Sundajskie i Filipiny, ale wojny nie wypowiada. Polityka japońska, jak zresztą polityka wszystkich innych państw świata—stoi w najściślejszym związku z przebiegiem kampanii rosyjskiej.

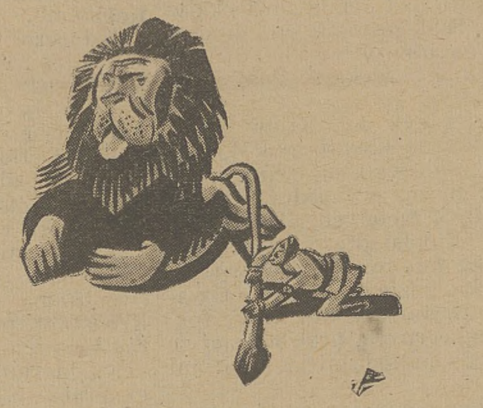
W Stanach Zjednoczonych Roosevelt kończy zwycięsko swą rozgrywkę z izolacjonistami i wzmacnia produkcję materiału wojennego. Po "latających twierdzach"—przychodzi kolej na olbrzymie, najnowszego typu czołgi. 200 takich czołgów zostało już wysłanych na Bliski Wschód. W dalszym ciągu przygotowuje się już zamówienia dla Rosji: kolosalne 15-tonowe machiny, wyposażone w działa szybkostrzelne i teoretycznie niepokonalne. Pozatem stocznie budują specjalne torpedowce, przeznaczone wyłącznie do walki z łodziami podwodnymi. W szybkim tempie dozbraja się również armię lądową.

We wrześniu 1939, żołnierze niemieccy w Polsce powtarzali slogany urzędowej propagandy o końcu wojny w grudniu 1939. W grudniu 1940 zapowiadał Hitler, że pierwsza połowa 1941 będzie okresem zwycięstw, jakich świat nie widział. Mamy już drugą połowę 1941, Niemcy ponoszą straty, wobec których bledną najczarniejsze listy z pod Verdun i Sommy—a na koniec wojny wcale się nie zanosi. I nastroje w Niemczech nie należą z pewnością do najmniejszych bolączek nazistowskiego rządu.

tk

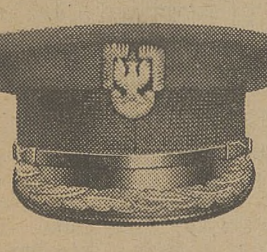


Współczesny Lohengrin



Cisza przed burzą

rys. Jerzy Faczyński



SPIS RZECZY.





WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.